EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 października 1937 r. Nr. 19 (98)

Treść numeru:

Nauczycielstwo, jako twórcza siła społeczna

Każdy umysł bezstronny, obserwujący ów pierścień nienawiści, jakim sfery przedawnionego przywileju usiłują opasać nauczycielstwo szkół powszechnych, mimowoli zadaje sobie pytanie: — Skąd ten nagły przybór złych i niszczycielskich namiętności? Czym tłumaczyć należy, że fala nienawiści wezbrała tak gwałtownie w obecnym właśnie momencie i z tak skoncentrowaną furią bije w znienawidzony cel?

Kierunek i cel tego ataku z pewnością nie jest przypadkowy. Z pewnością odsłania nowe źródło niebezpieczeństwa dla całej reakcji; nowy początek energii ożywczej dla wzrostu i rozwoju demokracji. Dlatego ta odpowiedź na pytanie powyższe ma znaczenie ogromne nie tylko dla tych, których bezpośrednio dotyczy, ale i dla całego społeczeństwa.

Nietylko dla nauczycielstwa, ale i dla wszystkich, którym losy oświaty leżą na sercu.

Otóż, jeśli chodzi o losy oświaty a zwłaszcza o losy szkoły powszechnej w Polsce, to stwierdzić należy, że całe niemal ostatnie dziesięciolecie nie było okresem ich rozkwitu. Dość spojrzeć, aby się o tym przekonać, na dzieje naszego budżetu oświatowego w ogólnym budżecie Rzeczypospolitej.

Jeszcze w roku skarbowym 1929/30 instytucje powołane do organizowania i finansowania polskiego szkolnictwa wydały na ten cel 626 milionów złotych. W r. 1936/37 suma wyznaczona w budżecie sięgała już tylko wysokości 417 milionów. A zatym w ciągu ostatnich lat siedmiu wydatki na kształcenie obywateli zmniejszyły się o 33 proc. a więc o jedną trzecią, t. j. o wiele wydatniej, niż całokształt budżetu, który w tym-że okresie obniżył się o 28 proc.

Jak widać z zestawienia tych cyfr, oświata w Polsce znalazła się, wśród pozycyj dotkniętych kryzysem na miejscu wyjątkowo eksponowanym: w tę właśnie pozycję uderzyły najsilniejsze gromy. Gdy, pod naciskiem kryzysu, wypadło robić oszczędności, postanowiono „zaoszczędzić" przede wszystkim na oliwie tego wątłego płomyka, którym płonęła lampa oświaty.

A przecież, przy wielkim zaniedbaniu w dziedzinie oświatowej, pochodzącym jeszcze z czasów zaborczych, i przy stałym wzroście roczników szkolnych, państwo polskie — jak to już w „Dzienniku Ludowym" z naciskiem uwydatnił Adam Próchnik — może zadość uczynić swym zadaniom oświatowym i kulturalnym tylko przez stały i konsekwentny wzrost wydatków przeznaczonych na pracę nauczycielską.

Zamiast przyrostu, jak widzieliśmy, ostatnie lata przyniosły w tej dziedzinie ubytek. Zamiast postępu, mieliśmy przed sobą obraz jakgdyby bezwolnego osuwania się w objęcia nędzy oświatowej i kulturowej.

Jest-że przypadkiem, że ten okres zastoju a nawet cofania się w pracy naszego nauczycielstwa był jednocześnie okresem niewątpliwego a przykrego rozbratu między chłopem i ro-

botnikiem a szkołą powszechną? że w tym właśnie okresie postawa rzesz ludowych wobec nauczyciela, a w konsekwencji wobec szkoły, uległa przejściowemu załamaniu? O tym załamaniu, które było nade wszystko załamaniem ufności w pracę szkoły, wyraźnie od szeregu miesięcy mówi w swym organie sam Związek Nauczycielstwa Polskiego. Mówi o nim tym wyraźniej, że już ma je poza sobą i że wpłynęły na nie okoliczności odległe od spraw oświatowych.

„Ludzie krótkowzroczni — czytaliśmy w Glosie Nauczycielskim (6.6.1937) — a uprawiający krótkofalową politykę, zapędzili nauczyciela do posług, które skierowały niechęć i rozgoryczenie środowiska przeciwko pracownikom oświatowym — tym właśnie, którzy w najsłabszym stopniu winni byli ponosić gorzkie i upokarzające konsekwencje."

Mowa tu jest, oczywiście, o dotkliwej choć przejściowej służbie, w jaką w latach ubiegłych zapędził nauczyciela t. zw. B. B. W. R., organizacja polityczna, która pod pokrywką bezpartyjności żerowała na społeczeństwie a jednocześnie demoralizowała administrację państwową.

Czyż trzeba przypominać, jak wielki był plon spustoszenia, dokonanego przez tę organizację w całej Polsce a zwłaszcza na wsi, na terenie współpracy szkoły powszechnej z chłopem? O tym ogromie spustoszenia świadczy żywiołowy impet, z jakim dziś odżegnują się od B. B. nawet ci, którzy byli jego współtwórcami: ludzie z najbliższego koła przyjaciół i stronników Walerego Sławka.

Weźmy, istotnie, do rąk jeden z ostatnich numerów „Jutra Pracy", organu grupy płk. Sławka, a cóż w nim znajdziemy? Znajdujemy słowa potępienia dla BB tak ostre i jaskrawe, jakby pochodziły nie od jego twórców, lecz od najbezwzględniejszych przeciwników:

„Naród — czytamy w tym organie — czeka na akcję, któraby gruntownie zmieniła rzeczywistość wsi polskiej. Chłop polski ma wrodzone poczucie praworządności, trzeba więc do tego poczucia się odwołać i dopuścić go do odpowiedzialności za losy państwa. Tradycyjna bierność wsi polskiej, zda się, należy już do przeszłości. I nad tym nie wolno przechodzić do porządku. Przeciwnie, trzeba to umiejętnie wykorzystać. Leży to bowiem zarówno w interesie wsi jak i państwa".

Te słuszne, arcysłuszne tezy w ustach grupy Walerego Sławka czym-że są jeśli nie wyznaniem straszliwej winy i okrutnym aktem samooskarżenia? Bo ta właśnie grupa, gdy stała na czele swego obozu, chciała naród zakuć w pęta bezwładu, wdeptać chłopa w ślepą glinę wegetacji, przekreślić dążności ludu roboczego do samodzielności i oświaty. Ona to przecież narzuciła Polsce ludowej wędzidło obowiązującej obecnie ordynacji wyborczej: tej, której nie śmie dziś bronić nawet gen. Galica!

I oto w imię polityki, której dziś wypierają się ci sami, którzy ją narzucili, przymuszano jeszcze niedawno nauczycielstwo szkół powszechnych do posług, które nakrywano złudną ideologią interesu państwowego, które wszakże w rzeczywistości wyrażały jedynie interes obszarnika, interes międzynarodowego kapitału finansowego oraz skojarzone z nim częściowo tendencje wyższej biurokracji świeckiej i kościelnej. Ale ubierać nauczyciela w liberię ziemiańsko - klerykalną i kapitalistyczną — znaczyło to jednocześnie ryć przepaść między szkołą a chłopem i robotnikiem; to jest — między szkołą a jedyną, obok inteligencji pracującej, siłą, która jest w Polsce zainteresowana w dźwignięciu i upowszechnieniu oświaty.

Teraz rozumiemy już, dlaczego okres miniony, podkopawszy zaufanie nauczyciela u ludu, stał się okresem upośledzenia szkoły powszechnej i zahamowania postępów oświaty. Rozumiemy, skąd zrodzić się mógł stan rzeczy, przy którym Polska w czwartym dziesięcioleciu XX wieku jęła „produkować" rocznie około 80 tysięcy analfabetów całkowitych oraz więcej niż dwakroć tyle — półanalfabetów!

Nie ma chyba serc i umysłów, czułych na los Polski, których by stan taki nie napełniał trwogą: wszak naród, zasuwający się w mrok umysłowy, to — naród skazany na to, aby prędzej lub później kierownictwo swych losów w obce poniechać ręce! A jednak czekaliśmy długo i daremnie na jeden choćby głos alarmu ze strony tych, którzy, wbijając klin między chłopa a szkołę, zagwoździli jej rozwój. Milczały dwory ziemiańskie, milczały „zamczyska" kartelów i przedsiębiorstw państwowych, milczało wyższe duchowieństwo. Dalekie od zgrozy na widok powrotnej fali analfabetyzmu, sfery te własnym zaślepione egoizmem upatrywały w niej nie bez pociechy raczej atut i premię dla swych uroszczeń klasowych i elitarnych.

Krzyk alarmu i trwogi wśród sfer owych wybuchnął, ale kiedy?

Wtenczas, gdy nauczycielstwo, strącając serwituty, narzucone zewnątrz, zdecydowanym krokiem nawróciło ku drodze samodzielności i postanowiło wyrównać swój stosunek z chłopem a także z całym światem pracy.

Dopóki nauczycielstwo a więc i szkoła powszechna były skłócone z ludem, póty sowy i puhacze reakcji, nienawidzące światła, mogły spać spokojnie, a nawet bawić się w łezkę współczucia dla „biednych" pedagogów wiejskich. Położenie jednak zmieniło się radykalnie, gdy zamiast dawnej nieufności między wsią chłopską a szkołą powszechną wywiązała się zgoda i współpraca, na zaufaniu wzajemnym oparta. Teraz nauczyciel, zespolony z rzeszą ludu, staje się siłą, której nie oprą się uprzywilejowane lecz szczupłe liczebnie a moralnie zbutwiałe żywioły mroku i pasożytnictwa.

Nauczyciel szkoły powszechnej wierny swemu posłannictwu, staje się nie tylko pionierem, ale i dźwignią oświaty, a zarazem czynnikiem przeobrażenia społecznego i postępu kulturalnego.

Ta nowa potęga, która się dzisiaj w nim rodzi; ta nowa czynna rola, którą na oczach naszych podejmuje, budzi odgłosy nienawiści w tych, którzy korzystali z jego słabości i patronowali jego biernej postawie.

Ale nienawiść taka jest najlepszą rękojmią, że nauczycielstwo w swej olbrzymiej większości idzie drogą właściwą; jest świadectwem, że reprezentuje ono siłę. Siła ta dziś jeszcze wzniecać może niechęć; jutro — nakaże dla siebie szacunek.

Znicz demokracji

Wrogowie demokracji, chcąc ją pognębić, wyrażają się o niej, jako o idei przezwyciężonej, jako o fazie przedwczorajszej, będącej raczej przeżytkiem przeszłości, niż programem na dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Ale, oto rzecz dziwna: najwięksi jej wzgardziciele nie mają w walce z nią tyle odwagi, aby jawnie odtrącić jej godło i nazwę. Ci, którzy najzapalczywiej demokracji się przeciwstawiają, chcą także uchodzić za demokratów. Tak niegdyś czynił obóz Romana Dmowskiego, który na swym sztandarze wypisał: narodowa *demokracja*, tak czynią dzisiaj jego spadkobiercy, którzy ewangelię Dmowskiego chcą osadzić na szabli Pierwszego Marszałka, mówiąc o demokracji kierowanej.

Wszelako, rozczytując się w pismach Józefa Piłsudskiego, w owych księgach, które dzięki nowemu wydaniu teraz dopiero zbłądziły naprawdę pod strzechy, dowiadujemy się, że igranie ze słowem „demokracja", nie stanowi bynajmniej monopolu nacjo-

nalistycznych żywiołów polskich; że maskarada taka jawi się wszędzie w określonych momentach zagrożenia sfer uprzywilejowanych przez samowiedzę, narastającą w masach, że, słowem, maskę fałszywej demokracji (z takim lub innym przymiotnikiem, zaprzeczającym jej właściwą istotę) przywdziewają kongregacje możnowładcze zawsze, ilekroć chodzi o postawienie tamy naporowi demokracji prawdziwej.

Maską demokratyzmu — przypomina Piłsudski— nie gardził swego czasu nawet ów prąd, który był najsroższą demokracji ciemnicą i katownią: despotyczny rząd carów petersburskich. Co więcej: ten potworny falsyfikat — jak stwierdza późniejszy marszałek Polski — nie pozostał w ręku despoty bez następstw, świadczących o jego niewątpliwej sile przyciągania; „...pomimo zohydzenia — czytamy — i ośmieszenia demokratyzmu przez dodanie doń słowa *carski*, zdołał on otumanić głowy nawet opozycyjnych elementów w Rosji. Rząd gwałty swe i niesprawiedliwości, popełnione na Litwie, pokrywał frazesem o obronie ludu przed uciskiem szlachty i gwałtowną rysufikację kraju przedstawiał jako walkę *demokratycznego* ducha w Rosji ze szlachecko - księżowską reakcją Polski, a społeczeństwo rosyjskie z bardzo nielicznymi wyjątkami patrzyło nan, jako na rzeczywistego swego przedstawiciela w tym wypadku i zwolna przesiąkało tym dziwacznym przedstawieniem rzeczy"*).

Jakże wielka, jak nieprzeparta być musi żywotność idei demokratycznej, skoro nawet ci, którzy chcieliby ją w duszy ludzkiej zdeptać, muszą się u niej zapożyczać lub ją okradać. Chcąc walczyć z nią, muszą przywłaszczać sobie część jej potęgi.

Czyżby czynili to, gdyby — jak sami powtarzają — demokracja była tylko kwiatem uwiędłym, tylko okazem muzealnym w rękach antykwariuszów przeszłości?

Nie! Demokracja jest nadzieją, jest żywą nadzieją przyszłości, jest wielką ziemią obiecaną wydziedziczonych i głodnych, i — to właśnie, co niesie ona w sobie i co zapowiada, sprawia, że tak zapamiętałych ma przeciwników w obozie sytych i uprzywilejowanych.. Prawda, że ma ona korzenie głęboko osadzone w przeszłości, ale czyż nie ma ich i chrześcijaństwo? A przecież nikt chyba nie odeśle nauki Chrystusa do muzeum starych zabytków dlatego, że powstała przed Hitlerem i Mussolinim: tymi dwoma bogami, reprezentującymi w oczach naszych nacjonalistów najnowszą księgę objawienia.

Rozwój demokracji jest pochodem, który od zarania dziejów towarzyszy pochodowi człowieka i jego cywilizacji. Szczytowe okresy dawnych kultur były doniosłymi etapami w rozwoju demokracji, który jest niczym innym, jak postępującą naprzód realizacją zasady samostanowienia człowieka o sobie we wszystkich dziedzinach życia narodowego, społecznego, religijnego, gospodarczego, kulturalnego. Niedarmo pierwsza metodyczna myśl ludzka zakiełkowała w osobie filozofów greckich na niwie demokracji, rzecz prosta, szczupłej i ograniczonej, ale jedynej, jaka rozwinąć się mogła w ówczesnych warunkach społeczno - gospodarczych. Niedarmo też i pierwszy wielki wzór obywatela w osobie Peryklesa wyrósł i zajaśniał w Atenach — w łonie demokracji. Narodziny chrześcijaństwa, które z prochu, napojonego krwią swych męczenników, wydźwignęło równość wszystkich jednostek ludzkich wobec Boga i już w założeniu moralnym przetrąciło jarzmo niewolników, było erą w dziejach ludzkich: ale czy nie stało się również erą w postępie demokracji?

W etykę i naukę chrześcijańską wlał się cały dorobek demokracji ateńskiej z Platonem i Arystotelesem na czele, kształtując syntezę, która na użyźnionym gruncie cesarstwa rzymskiego dała początek nowożytnej społeczności europejskiej. Reformacja niemiecka i Rewolucja Francuska, dwa przełomy dziejowe w łonie cywilizacji zachodniej, to — znowu dwa olbrzymie kroki w postępie demokracji. Biada narodom i mocarstwom, które odgłosu kroków tych nie usłyszą! Hiszpania oczadziała dymem, wzbijającym się z nad stosów św. Inkwizycji, postrada swe bogactwa zamorskie. Polska, głucha na wołanie głosu praw człowieka i obywatela, utraci skarb większy, bo niepodległość własną.

Ale nad zgliszczami stosów, dopalających się w Hiszpanii, nad gruzami Rzeczypospolitej, deptanymi stopą najeźdźców, demokracja nie przerywa pochodu, nie zwija swych sztandarów. Idzie naprzód i wynikami swej pracy stwarza nową dźwignię dla spóźnionych, nową broń dla pokonanych. Na szyi chłopa polskiego — w najgłębszym mroku niewoli — rozkuwa pęta pańszczyzny; robotnikowi polskiemu daje do rąk instrument organizacji. Stawiając na nogi i samowiedzą obdarzając lud, kształci w nim utajoną armię dla walki o niepodległość. Ona to również — bo któż, jeśli nie demokracja? — daje poetom naszym pierś na miarę Fidiasza a słowom ich ogień Prometeidów. Więc gdy powstanie wódz-oswobodziciel, i gdy wśród wojny światowej wybije dla Polski godzina kruszenia kajdan, głos wodza nie skona bez echa: ci, w których demokracja zbudziła poczucie praw i obowiązków wobec ojczyzny, podejmą broń, aby dać wolność tej, którą nauczyli się kochać.

W tej perspektywie jakże zrozumiałą jest rzeczą, że triumf odbudowania Polski urzeczywistnił się w powszechnym triumfie demokracji! I czyż mogło być inaczej? Stara Rzeczpospolita zawaliła się w ślepym oporze szlachty i magnaterii przeciw wymaganiom demokratyzmu. Nowa narodzić się mogła jedynie w wysiłku inteligencji, robotników i chłopów, którzy na jego zew powstali. Powaliła nas Targowica, nakryta karmazynem; wskrzesiła demokracja, odziana chłopską sukmaną, bluzą robotniczą, szarym żołnierskim mundurem.

Jakby dla uwydatnienia tej prawdy, nowe Państwo Polskie odrodziło się na gruzach tego, co było w Europie ostatnimi redutami feudalizmu, ostatnim schronem dla polskiej Targowicy. Tym razem Polska dotrzymała kroku pochodowi demokracji. I nawzajem największa zdobycz demokracji ziściła się w akcie naszego politycznego zmartwychwstania.

I gdybyśmy dla tej wspólnoty, w której zwycięstwo demokracji splata się z odbudową Polski, szukali potężnego a prostego symbolu, nie znaleźlibyśmy nic wymowniejszego, niż lampa, płonąca nad grobem Nieznanego Żołnierza. Zapalając ją, Polska uczciła bohaterstwo własne, ale uczciła także ideę demokracji. Bo Żołnierz Nieznany, śpiący pod wiekuistym zniczem czci i pamięci narodu, to — właśnie symbol tej idei, to — jej sztandar, jej testament.

*) Pisma Zbiorowe Józefa Piłsudskiego t. II, str. 35—36.

Spójrzmy, na chwilę pod kolumnadę, zamykającą w Warszawie plac Józefa Piłsudskiego: tam, gdzie obok posągu wodza, który, ginąc, ocalił honor narodu, wznosi się pomnik jednego z tych, którzy, ginąc, dali wolność ojczyźnie. Między tym posągiem wodza a mogiłą żołnierza rozpościera się więcej, niż sto lat dziejów demokracji. Zalega między nimi przestrzeń czasu, na której przesilił się los Polski, przekreślając wyrok jej klęski, utwierdzając byt jej niepodległości. One to — owe sto lat pracowitych dziejów demokracji, unarodawiając ziemię i chłopa, sprawiły, że w mogile, na placu Piłsudskiego

bez czerwonego leży trup kontusza,

ale nad mogiłą płonie znicz chwały i zwycięstwa.

. . . .

Nie chcecie demokracji? Bądźcie konsekwentni! Nie chcecie w Polsce demokracji? Miejcie smutną odwagę swego przekonania: spróbujcie zgasić płomień serc naszych nad grobem Nieznanego Żołnierza!

Wincenty Rzymowski.

Z dnia na dzień

ŻYWA WIOSNA.

Piękny jesienny dzień 26 września w murach Warszawy podwójnym rozzłocił blaskiem: na tle słonecznej jesieni zagrała jakby powrotną falą młodzieńcza wiosna: była to wiosna żywa, uosobiona w szeregach młodzieży socjalistycznej, która w dniu tym przybyła do stolicy na zlot wszechkrajowy.

Około ośmiu tysięcy chłopców i dziewcząt, maszerujących zgodnym krokiem pod lasem czerwonych sztandarów, podbiło sympatię ludu warszawskiego, który w ważnych momentach zawsze przypomina sobie, że serce nosi po lewej stronie.

Pochód młodzieży robotniczej, w którym znamienny udział wzięło także przedstawicielstwo chłopskich „Wici", był istotnie zjawiskiem nie tylko radosnym i krzepiącym otuchę, ale i okazałym. Szła w nim dziarska młodzież aż z pod Sącza w barwnych strojach góralskich, szły ochocze zastępy krakowskie; szła śliczna grupa śląska. Szła młodzież uniwersytecka.

W promieniach jasnego słońca, w promieniach tysięcy par oczu roziskrzonych wiarą w przyszłość, opartą o ideały świata pracy, stajały, niby opar nocny, jeden po drugim, wszystkie uprzedzenia i przesądy, które zła wola lub głupota spiętrzyła na drodze klasy robotniczej.

Znikł przesąd, z jakąż wytrwałością szerzony od tak dawna, że Polska w swym młodym pokoleniu idzie na lep faszyzmu. Znikła niemniej jadowita plotka, że wśród młodzieży wszystko co nie jest faszystowskie, jest niepolskie. Sztandary P.P.S. uświęcone krwią dawnych bojowników, poległych w walce o niepodległość, chwycone teraz młodymi dłońmi na znak przymierza pokoleń, stały się najlepszym odparciem fałszow, szerzonych przez akuszerów faszyzmu.

MŚCIWE I MORDERCZE WIEDŹMY.

Tryumf idei postępu, idei demokracji, idei przebudowy społecznej, ujawniony w zlocie młodzieży socjalistycznej, nie mógł nie wywołać mściwej zawziętości w jędzach i wiedźmach reakcji. Wszak sam widok tej młodzieży obracał w niwecz założenia endecji, założenia O.N.R., założenia tych, którzy na pobratymstwie z nimi zamierzali budować swą karierę. Zaczaiły się tedy złe jędze pod murem kamienicy narożnej na skrzyżowaniu Alei 3-go Maja i Nowego Światu. Obojętne, czy jędze te miały pozór niedowarzonych wyrostków czy szczwanych, zbójeckich wygów: w piersi ich napewno przesypywało się zgnilcze próchno starego, skazanego na zagładę świata. Zdala od słońca za plecami ludzi, którzy jędzom tym mieli posłużyć za parawan bezkarności, zaczaiły się one ze swą myślą o zbrodni, o krwi rozlewie, o bratobójstwie i anarchii. Z ich rąk padła bomba, której odłamki poraniły 20 osób z pośród przechodniów.

Do łańcucha zbrodni przeciw państwu i ludowi polskiemu nowe przybyło ogniwo. Czyż bowiem możemy wątpić, że bomba, która ugodzić miała w młodzież socjalistyczną, z tej samej pochodzi kuźni, która od dłuższego czasu anarchizuje nasze życie objawami zdziczenia, teroru i samowoli? Gdybyśmy mieli jakiekolwiek w tym zakresie wątpliwości, rozproszyłaby je lektura dzienników, które wyspecjalizowały się w szczuciu rodaków przeciw rodakom i które szczucie to nazywają troską o „czystość" duszy narodowej.

Pochód młodzieży socjalistycznej przez ulice Warszawy zyskał tak wielkie znaczenie właśnie dzięki temu, że pokazał, po której stronie szereguje się spokojna, karna i samoopanowana siła, a po której bezsilna czai się złość z bombą w dłoni.

„ABC" POD RAZAMI WŁASNEGO PROGRAMU.

Niezbadanymi ścieżkami chodzi sprawiedliwość boska. Od szeregu tygodni i miesięcy, dzień za dniem z łamów O.N.R.-owskiego dziennika „ABC" padały hasła, głoszące zbawienność metod gwałtu i napaści.

Program, przedstawiany przez ten dziennik, był — rzec można — wykrojony żyletką z kapoty żydowskiego przekupnia lub kastetem wypisany na czole kolegi odmiennych przekonań politycznych. Gdzie kończył się zasięg żyletki i kastetu, dokąd nie sięgał łom żelazny, bomba lub petarda, tam kończyła się ideologia grupki, skupionej wokół „ABC".

I oto posiew tak obiecujących metod nie pozostał bez plonu.

Pewnego pięknego wieczoru, pod osłoną dyskretnego mroku, grupa kilkunastu młodzieńców, którzy snadź bardzo pilnymi byli czytelnikami „ABC", uzbroiwszy się w oręż należyty, dokonała napadu na redakcję tego dziennika. „Po zburzeniu urządzeń w lokalu redakcyjnym, pobiciu współpracowników pisma (cytujemy za „Dziennikiem Ludowym") i oddaniu kilku strzałów napastnicy zbiegli". Przed ujściem jednak postanowili swój bilet wizytowy odcisnąć na twarzy naczelnego redaktora.

I patrzcie, jaka jest moc tak niezwykłego biletu wypisanego na tak niezwykłym miejscu! „ABC" już nazajutrz, przekreślając swój program, potępiło — po raz pierwszy — politykę gwałtu i mądrość pięści. Co więcej uciekło się pod wspaniałomyślną opiekę wojewody warszawskiego.

Maluczko, a na łamach organu O.N.R. ukaże się hymn na cześć motopompy, jako strażniczki porządku publicznego!

KWIATY I ŁZY ADWOKATA DĄBROWSKIEGO.

W roli nieco podobnej do p. Zalewskiego, redaktora „ABC", któremu tak dotkliwie dali się we znaki naśladowcy jego własnych metod, znalazł się także p. Jan Dąbrowski, adwokat, gorliwy niegdyś demokrata, a dziś niemniej gorliwy poplecznik „nowych" prądów, mających kurs w sferach „miarodajnych".

Panu Dąbrowskiemu zdarzył się przy-

kry wypadek: oto w sądzie apelacyjnym, gdzie występował jako obrońca Chaskielewicza, napadnięto i pobito go za to właśnie ,że podjął się obrony Żyda, co w oczach wojującego nacjonalizmu ścigane jest, jako czyn hańbiący.

Czyż mamy dowodzić, jakim piętnem barbarzyństwa ta nowa napaść kładzie się na środowisku, z którego pochodzi i które ją pochwala?

Pobitemu adwokatowi złożono w imieniu kolegów i przyjaciół kwiaty, jako wyraz współczucia w niedoli, a zapewne i solidarności ze sposobem, w jaki pojmuje swój wysoki zawód obrońcy sądowego. Wyrazy potępienia dla sprawców napaści ogłosiła również i Rada Adwokacka.

Do wymowy tych kwiatów i uczuć łączy swój głos i „Epoka". Współczucie wszakże, które na tym miejscu wyrażamy p. Dąbrowskiemu, skierować pragniemy nie tylko ku tym obolałym jego miejscom, które ugodziły pięść czy kij napastnika. Chcemy na tym miejscu współczuć z postacią jego niedoli głębszą, niż obrażenia cielesne. Mamy na myśli te obrażenia, krzywdy i zniewagi moralne, które zadał on sam sobie, współpracując w organie p. Hrabyka — „Kurierze Porannym", tym „Kurierze", który, jak wiadomo, pół roku temu oddał się na usługi obozu, wywieszającego białą chorągiew kapitulacji przed starą i młodą endecją, w szczególności zaś przed jej strategią i taktyką w stosunku do przeciwnika.

Czyż razy, które z rąk napastnika spadły na jego głowę i plecy, nie są posiewem tego obozu, który piórem swoim, w miarę sił, wspiera sam na łamach publicystyki?

Nie kwestionując tedy praw p. Dąbrowskiego do kondolencji publicznej po tym, co go spotkało, nie możemy powstrzymać się od uwagi, że poniekąd burzę na swym karku zebrał od z posiewu idei, w które sam zabrnął. Jeżeli więc boli go obraza, niech ból swój wypłacze w... kamizelkę kolegi Hrabyka.

P. A. L. POD PANTOFLEM BISKUPA

A cóż powiedzieć o prezesie Polskiej Akademii Literatury, p. Sieroszewskim, którego tak brutalnie kopnął Rostworowski?

Czy nie to samo, co o poturbowanym adwokacie? I jeden i drugi bolesne, upokarzające otrzymali pokwitowanie od tych, których usiłowali przejednać umizgami.

Bo i Wacław Sieroszewski, jako prezes Akademii, nie znał poprostu granic w cofaniu się przed terorem nierozumu, i w ustępstwach dla reakcji, dla endencji i faszyzmu bił wszelkie rekordy. Z ustępstw cofał się w nowe ustępstwa aż znalazł się w ustępie, tym, mianowicie, w którym postanowił zamknąć go i na łup pośmiewiska wydać Rostworowski.

Wacław Sieroszewski to — uosobienie tego oportunizmu, który patronuje Polskiej Akademii Literatury.

„Chcąc uniknąć walki, ujść z pola ataków, unieść swe trwożliwe głowy z frontu boju — pisze słusznie w „Dzienniku Porannym" Antoni Wieczorkiewicz — akademicy (dodajemy: za przykładem swego prezesa — przypis. EPOKI) poddawali się łatwo terorowi stosowanemu wobec nich przez sfery endeckie i klerykalne. W osobie Karola Huberta Rostworowskiego upatrując tarczę, chroniącą ich choćby częściowo przed atakami, poddawali się jego dyktaturze. Endecja, jak zwykle brała wszystko, ale nie kwitowała niczego. Każda wymuszona przez nią na małoduszności akademików ofiara powiększała tylko apetyty. Gdy przywódca oenerowskich bojówek Mosdorf zainicjował atak na Rzymowskiego a za nim **zwartą falangą ruszyły różne katony, rozdzierając plugwe szaty — najgłośniej czyniły to oburzone na plagiat Katony, które zwykły się piórem posługiwać tylko w przerwach między wycinaniem a klejeniem** (słowa podkreślone cytujemy z Rocznika Literackiego) Akademia z nazbyt lekkim sercem pozbyła się pisarza, który mącił jej neutralność i święty spokój. Endecja przyjęła ofiarę, ale w żądaniu nowych była nieustępliwa".

Gdy Sieroszewski, licząc na bezkarność w tym rozgardiaszu, jakim jest nasze życie publiczne, zajął dość agresywne stanowisko wobec Sapiehy, zażądano głowy Sieroszewskiego. Zrazu ugodzono weń wypróbowanym zarzutem plagiatu. Skoro jednak ostrze plagiatowego oskarżenia okazało się stępione, wyszła na jaw intencja istotna: odwet za zniewagę wielmoży kościelnego.

Ten zamach odwetu, będący sam w sobie niesłychaną uzurpacją i pretensją kleru do sprawowania nadzoru nad instytucją literacką, w stosunku do Akademii, której prezesuje Sieroszewski, okaże się niezawodnie zamachem druzgocącym. Niedarmo klątwa biskupia wcieliła się w Torkwemadę - Rostworowskiego. Impetowi fanatyka Akademia przeciwstawi tylko sobór bonzów na nocnikach: ani jednej indywidualności mężnej, ani jednego człowieka, zainteresowanego w honorze swej gwiazdy akademickiej. Im prędzej tedy się rozejdą, tym — lepiej. W gromadzie bowiem sumują tylko swoją małoduszność.

Literatura polska, jeśli o nią chodzi, przekonała się chyba dostatecznie, że P. A. L. jest tylko ozdobną formą jej przykucia do rydwanu każdorazowych rządów. Literaturze dziś więcej, niż kiedykolwiek, potrzebne są nieskrępowane skrzydła i wolny oddech. Nie obiady czwartkowe za stołem króla Stasia, ale „gniazdo na skałach orła" stać się musi jej symbolem, jeśli sprostać ma zadaniu, które jej w dobie obecnej przypada w udziale.

STRACH PRZED KRACHEM.

Do niedawna jeszcze p. Cat-Mackiewicz miał pełne prawo być dumnym z postępów idei hitlerowskiej w Polsce i miał wszelkie powody z otuchą patrzeć w swoją świetlaną przyszłość, w tworzenie się opoki dla pełnego i niewzruszonego panowania sfer plutokratyczno-możnowładczych.

Mógł więc nadawać ton i uchodzić za główne źródło natchnień germanofilskich w rzeczach naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Ale karta odwróciła się z chwilą, gdy demokracja polska postanowiła położyć kres duchowemu zaborowi kraju.

Wskaźnikiem tej odmiany jest wzrost zniecierpliwienia p. Cat-Mackiewicza. Coraz częściej wyrzeka się już patosu kaznodziejstwa na rzecz mało wyszukanej ale za to wielce prostackiej demagogii.

Oto znów w wileńskim „Słowie" znajdujemy „sentencję", której p. Cat-Mackiewicz tak wielkie widać przypisuje znaczenie, że aż umieszcza ją na czele numeru: „zauważcie — woła znacząco i perfidnie — że najgorręcej nawołują nas do walki z Niemcami te pisma, które sympatyzują z czerwoną Hiszpanią". Tutaj „Słowo" nigdy nie było dalsze prawdy. Cała ta „sentencja", urodzona w kłamstwie, obliczona jest tylko na bezkrytyczność czytelnika, który nie połapie się, że żadne pisma polskie nigdy nie wzywały do walki z Niemcami, lecz do samoobrony. Samoobrony przed agendami hitleryzmu i jego zdradzieckimi praktykami w całym świecie i na gruncie polskim. Coraz więcej pism polskich, które dotąd przemycały do nas towary norymberskie, ostatnio wypiera się publicznie roli wolontariuszów w służbie goebellsowskiego zakonu.

Ileż prawdy zawierać może „sentencja" „Słowa", skoro dziś właśnie warszawski „Goniec" i krakowski „I.K.C." „najgoręcej nawołują" do samoobrony przed hitleryzmem. A nawołują „w imię wolności człowieka, w imię kultury społecznej, w imię ochrony narodów przed najstraszliwszą formą niewoli". I jacyż to ludzie podchwytują dziś niektóre hasła demokracji? Nie kto inny przecież,

jak tylko wspólnicy i kamraci p. Cat-Mackiewicza, bracia w hitlerowskiej wierze, kótrą żarliwie praktykowali i chwalili tak niedawno jeszcze na czcigodnych łamach „I.K.C.", nie dając się w gorliwości wyprzedzić wileńskiemu „Słowu". Nikt inny, tylko pobratymcy p. Cata, którzy ze wszystkich wspólnych związków „ideowych" dotąd dochowali jedynie wierności dla rebeliantów hiszpańskich. Otrąbili przecież razem zwycięztwo uzurpatora i razem tryumfalnie pół roku temu wprowadzili gen. Franco na białym koniu do Madrytu. Ale mimo to „I.K.C." nawołuje dziś do przeciwstawienia się prądom hitleryzmu, „jeżeli Europa nie chce być nowoczesnym państwem faraonów, nie zaś rodziną wolnych społeczeństw".

Czyż nie jest to nowa zaraza w Grenadzie? I cóż p. Catowi pozostało innego jak zatrzymywać filohitlerowskie szyki, idące w rozsypkę, i wołać rozpaczliwie: opamiętajcie się, „zauważcie, że najgoręcej nawołują nas do walki z Niemcami te pisma, które sympatyzują z czerwoną Hiszpanią".

Żle tajony strach przed krachem hitleryzmu w Polsce stanowi prawdziwą treść tej perfidnej „sentencji".

NIE ZAKŁÓCAĆ KOŁYSANKI.

P. Cat Mackiewicz mocno się sroży i groźnie potrząsa swoim wielkim brzuchem nad głową każdego, kto choć skromnym głosem upomina się o krzywdy Polaków w III Rzeszy. Pieni się na każdego, kto nie chce milczeć o gwałtach i nadużyciach, popełnianych co dnia i w coraz większej skali przez nową hakatę germańską.

Ostatnio „Słowo" wileńskie znów wystąpiło z perorą i z litanią pretensji; ale zgadnijcie pod czyim adresem? Pod adresem Polskiej Agencji Telegraficznej, czyli urzędowego *Pata*, do którego przecież możnaby mieć właśnie pretensje o to, że nie dość wyczerpująco informuje o metodach i rozmiarach zajadłej krucjaty. Tymczasem nasz patriota wileński usiłuje go przygwoździć za to ni mniej ni więcej, że ośmiela się wogóle podawać wiadomości o tym, co spotyka naszych rodaków w Niemczech: jest to robota szkodliwa, „bo stałe informacje o szykanach muszą oczywiście podniecać opinię polską". I pocóż to czyni, kiedy mamy własne państwo, mamy swój rząd na to, „aby rodaków bronił drogą dyplomatyczną a nie przedwojennymi sposobami wieców, protestów i hałasów prasowych".

Więc — morał w tym sposobie — niech ogół polski raczej tkwi w mroku niewiedzy co do cierpienia braci naszych, niż mącić penetrację hitleryzmu w Polsce i zakłócać tony germanofilskiej kołysanki.

W przeciwieństwie do wileńskiego *„Słowa"*, katowicki *„Powstaniec"*, daleki od „sympatyzowania z Czerwoną Hiszpanią", w każdym numerze gromi bierność narodu polskiego i domaga się stanowczych wyrazów protestu przeciw tym praktykom. Niema dnia, „by nowe wiadomości nie nadchodziły o nienotowanym w dziejach narodów ucisku Polaków w Niemczech. Nadprezydent prowincji śląskiej Wagner publicznie oświadcza, że w przeciągu dwudziestu lat usunie z Śląska Opolskiego wszelkie ślady polskości... Liczba wypadków indywidualnych ucisku i teroru niemieckiego wchodzi w tysiące"...

„Słowo" wileńskie chce ukryć ponurą prawdę pod korcem swej klasowej polityki, związanej z powodzeniem hitleryzmu, *„Powstaniec"* zaś wzywa do wydawania w obcych językach Czarnej Księgi, aby cały świat cywilizowany mógł poznać ten ogród udręczeń.

P. Cat Mackiewicz mężnie znosi niedolę Polaków w III Rzeszy, znosi tak mężnie, gdyż chodzi tu tylko o żywych ludzi. Trzeba więc milczeć i „nie podniecać opinii polskiej". Ale gdyby chodziło tutaj o nadziały ziemi, o odbieranie włók żubrom litewskim, — takim rykiem napełniłby całą Polskę, że trzęsłoby się wszystko co żywe ze współczucia dla biednego serca, przeszytego ostrzem aż siedmiu włóczni naraz.

Czechosłowacja po zgonie Tomasza Massaryka

Masaryk, zmarły w ubiegłym miesiącu pierwszy prezydent Czechosłowacji, był jednym z tych wielkich i twórczych polityków, których dzieło po śmierci nie ginie, lecz trwa wcielone w byt państwa i narodu. Był on w pełni tego słowa założycielem republiki czesko - słowackiej. Odszedł z tego świata w czas niedługi po odejściu od władzy, po życiu pełnym trudu i chwały, pogrążając kraj swój i wszystkich jego przyjaciół w głębokiej żałobie.

Przystańmy na chwilę w cieniu tej żałoby, aby zastanowić się nad powstaniem, nad rozwojem i nad losami państwa czesko - słowackiego.

Dziewiętnaście lat mija odkąd państwo to powstało do życia. Wytrzymało próbę. Niegdyś, gdy narodziła się Belgia, wielu przepowiadało, że nie pociągnie ona długo, że nigdy nie istniało w Europie państwo belgijskie i istnieć nie może.

Wbrew tym złym wróżbom, okazało się, że może. Państwo belgijskie nietylko istnieje, ale zdobyło sobie pokaźną kolonię afrykańską i obronną ręką wyszło z wojny. Powie ktoś, że miało ono dwóch przynajmniej wybitnych monarchów i nie mało świetnych talentów politycznych. Któż jednak nas przekona, że ojczyzna Massaryka, która już dotychczas znalazła ludzi, jacy jej byli potrzebni, nie znajdzie ich poddostatkiem także i w przyszłości?

Faktem jest, że w r. 1918-19 złowrogich wieszczków nie brakło i że w r. 1937 Czechosłowacja jest państwem, mającym ustalone stanowisko w Europie.

Narodziła się ona, jako państwo, przed laty 19-tu z rozczłonkowania Austro-Węgier. Była jednym z klinów, który monarchię Habsburgów rozsadził i musiał rozsadzić. Czechosłowacja bowiem była z ducha i temperamentu nawskroś republikańska, a na republikę czechosłowacką nie było miejsca w federacji austro - węgierskiej.

Korona Habsburgów, w wyniku przegranej wojny i pod wpływem wzbierającej rewolucji, potoczyła się na bruki Wiednia. Czechy poczuły się wolne. Ich jarzmo trwało zbyt długo. Nie chciały przystać na nic innego poza pełnią niepodległości, i — było to ich bezspornych prawem. Niestety, nie chciały, czy nie mogły poprzestać na tym, do czego miały prawo i w granice swego odrodzonego państwa wgarnęły niewspółmiernie wysoką liczbę żywiołów obcej narodowości. W dążeniu do ekspancji, dep-

cąc przestrogi zdrowego rozsądku, wyrwały one i naszej Rzeczypospolitej, uwikłanej podówczas w ciężkie boje na wszystkich pozostałych granicach, kawał rdzennej, pralechickiej ziemi na zachód od Cieszyna.

Znaczna siła mniejszości narodowych Polaków, Węgrów, Ukraińców, zwłaszcza zaś Niemców, których liczba dochodzi trzech milionów, stała się wkrótce źródłem poważnych kłopotów i trudności wewnętrznych w młodym państwie. Na domiar, Czesi i Słowacy, jakkolwiek są to narody pokrewne, nie żyją w harmonii idealnej: ci ostatni, jak wiadomo, zarzucają Czechom nieposzanowanie swych swobód i właściwości odrębnych.

Wówczas to, dzięki wysiłkom Pragi i talentowi Masaryka, jako naturalny akt samoobrony przeciw owym trudnościom wewnętrznym oraz przeciw niebezpieczeństwom, grożącym zzewnątrz (czytaj: restauracja Habsburgów) powstała organizacja i polityka Małej Ententy. Organizacja i polityka, mająca tym większą skuteczność, że cieszyła się poparciem Francji. Czechosłowacja, mając zabezpieczone tyły od strony Dunaju, spokojnie pełniła wartę na północy, stawiąc czoło naporowi Niemców. I rzec można, że aż do roku 1933, mocno oparta o swe graniczne góry, Czechosłowacja pod rządami Masaryka była nie tylko panią swoich losów, ale i jednym z kamieni węgielnych w budowie nowej Europy.

Mogła, co najwyżej, lękać się „anschdussu", wiedziała wszakże, że nie dopuściłaby doń Francja. Lękała się powrotu Habsburgów, ale sama dość miała siły, aby mu zapobiec. Co zaś do rewizjonistycznych uroszczeń węgierskich, to przekreśliła je poprostu postawą swego lekceważenia.

Nagle objął władzę w Niemczech Hitler. Za północną granicą czeską wyrosła odrazu potęga nieskończenie bardziej dynamiczna od dawniejszej. Nie upłynął rok, a potęga ta stała się groźna. Z upływem każdego miesiąca nacisk niebezpieczeństwa się wzmagał. Jednocześnie, wywracając w Wiedniu Dollfussa, polityka niemiecka silną stopą stawała nad Dunajem.

Czując nadchodzącą burzę i pragnąc odwrócić jej gromy, Czechosłowacja podpisała z Moskwą pakt czesko - sowiecki, wzorowany na pakcie frankosowieckim. Układ ten wszakże, zamiast uśmierzyć niebezpieczeństwo, wzmógł jego napór. Naprzód, niechętne związkom z Sowietami, Jugosławia i Rumunia, nie zrywając jawnie węzłów Małej Ententy, rozluźniły jej spójnię. Belgrad wszedł w orbitę przyciągania Rzymu. Włochy zaś, coraz ściślej współdziałając z Niemcami, powstrzymują Austrię od szukania związku z Czechosłowacją. Ponadto wzrasta przeciw Pradze rozjątrzenie w sferach hitlerowskich, gdzie na Czechosłowację patrzą, jako na wojenne lotnisko sowieckie. Wreszcie, gdy Hitler na nowo zajął militarnie Nadrenię, Francja zaś krok ten przyjęła bez protestu, w Pradze zrozumiano, że daleka sojusznica zachodnia stała się teraz o wiele dalsza, i że niebezpieczeństwo wzrosło niepomiernie.

Od tej chwili cały układ stosunków sąsiedzkich i międzynarodowych stanął przed Czechosłowacją w nowym świetle. Ma ona do wyboru trzy drogi.

I. Droga pierwsza to — polityka francusko - czesko - sowiecka, z pewnością bardzo niebezpieczna dla Czechosłowacji, która tworzyłaby środkowe ogniwo w łańcuchu, wiążącym Paryż i Moskwę. Jasną jest rzeczą, że dążnością Hitlera byłoby przetrącenie tego ogniwa środkowego. Jak? — To już zależy od splotu okoliczności: bądź w drodze ciosu bezpośredniego, bądź w drodze rozbicia państwa od wewnątrz przy pomocy mniejszości niemieckiej, bądź wreszcie w drodze „anschlusu", który by ujął Czechosłowację w kleszcze i zmusił do kapitulacji.

II. Droga wtóra to — polityka porozumienia z Niemcami. Polityka również niebezpieczna: pierwszy krok do ugięcia szyi pod jarzmo.

III. Droga trzecia to — polityka, magąca liczyć na protekcję Francji i Anglii, a kto wie, może i Włoch w przyszłości, chcemy wierzyć, niedalekiej — polityka otwarcie i szeroko dunajska.

Czy Massaryk myślał o niej? Być może. Lecz w owym czasie, gdy stał on na czele swego państwa, polityka dunajska była niezmiernie trudna do wprowadzenia w czyn. Polityka ta bowiem wymaga zachowania przy życiu Austrii, jako odrębnej niepodległej jednostki, oraz ścisłego jej zbliżenia z Czechosłowacją, ponadto zaś przyjaznego wyrównania stosunku z Węgrami.

Powodzenie koncepcji takiej, rzecz prosta, zależy od tego, jak popatrzą na nią Włochy i Niemcy. Jeśli Mussolini iść będzie i nadal ręka w rękę z Hitlerem, sprawa jest beznadziejna. Można jednak na jej obronę przytoczyć argument, że federacja dunajska nie byłaby złym interesem dla Włoch: stanowiłaby ona dla nich najpewniejszy szaniec przeciw parciu fali germańskiej ku południowi.

Mussolini, cesarskimi przepychami witany i żegnany w Berlinie, o szańcu takim dzisiaj nie myśli. Dziś zapatrzony jest w swoją spółkę z Niemcami. Czy jednak oś Berlin — Rzym nabierze tej trwałości, jaką chcieliby widzieć w niej trabanci międzynarodówki faszystowskiej? Czy Mussolini może zamknąć oczy na to, że Niemcy, pochłonąwszy Austrię i usadowiwszy się nad Dunajem, całą potęgą zaciążą nad południowym Tyrolem i nad Tryjestem? Wszak pochód Germanów na południe to — odwieczny szlak marzeń ambitnych władców niemieckich.

Czechosłowacja ma tedy prawo spoglądać w stronę Wiednia i Rzymu, a jednocześnie i w stronę Paryża. A przede wszystkim ma powody, aby samej sobie stawić pytanie, czy polityka bardziej lokalna, ściślej dunajska, nie odpowiadałaby jej interesom lepiej, niż wielka polityka europejska. Ale, raz jeszcze powtarzamy to z naciskiem, polityka taka, polityka dunajska, miałaby widoki powodzenia jedynie o tyle, o ile doszłoby do skutku współdziałanie Londynu, Rzymu i Paryża: t.j. o ile zachwiałaby się i pękła oś groźby i zawieruchy, oś ucisku i wstecznictwa, oś Berlin — Rzym.

Chryste!... Umówiono się niedawno, że od Leszna do Woropajewa będzie Polska. Ale czy się umówiono, że ona ma być głupia i w swej głupocie uparta? Czy panis bene merentium („chleb dobrze zasłużonych") ma dla reszty oznaczać pańszczyznę? Czy „panis" (chleb) pochodzić ma zawsze od pana?

T. ULANOWSKI

(„Bank Chrystusa")

Wincenty Rzymowski

Dożynki Warszawskie 1937 r.*)

SAPIEHA

KSIĄŻĘ BISKUP KRÓLUJE NA WAWELSKIEJ GÓRZE,
DUMNY, BO KRÓLE. DUCHY MA ZA SWÓJ PODNÓŻEK.

SPIŻEM DZWONÓW OGŁASZA KSIĄDZ MAGNAT SWĄ CHWAŁĘ...
W PODZIEMIACH ŚPIĄ BUŁAWY I BERŁA SPRÓCHNIAŁE.

DO KOLAN BISKUPICH POKORA SIĘ ŚCIELE...
MOC LEŻY ZGASŁA W KIRACH, A DUMA — W POPIELE.

W GÓRZE KSIĄŻĘ INFUŁAT UCZTUJE NA STYPIE,
A DOŁEM — PROCH SIĘ Z WIELKICH IMION SYPIE.

BISKUP WSPARŁ SIĘ O GROBY, DEPCE PO POPIOŁACH
I PRZYSZŁOŚĆ NASZĄ CZYTA — W TRUPICH OCZODOŁACH.

WSZYSTKO, CO ŻYŁO W POLSCE, UMILKŁO LUB KLĘKŁO.
CISZA... TYLKO COŚ GŁUCHO W JEDNEJ TRUMNIE JĘKŁO.

KTOŚ W TRUMNIE PO RAZ DRUGI W MROK OSUNĄŁ LICA...
POLSKA MILCZY. A NAD NIĄ BISKUP JAK — GROMNICA!

SŁAWEK

MILCZY JAK KRZYŻ NA GROBIE. I TAJNIE POUCZA:
WIDZIAŁ ŻYWĄ HISTORIĘ — PRZEZ DZIURKĘ OD
KLUCZA.

KADEN

W BURZLIWYCH DZIEJÓW ZAWROCIE
NIE ROZMINĄŁ SIĘ Z SWĄ SZANSĄ.
GDY UMRZE, NAPIS WYRYJMY MU W ZŁOCIE,
NIE POWODUJĄC SIĘ ANSĄ:

„PRZY GENIALNYM DON KISZOCIE
BYŁ PRZEPISOWYM SANSZO - PANSĄ,
JAKO ŻYŁ, TAK I UMARŁ Z NADWYŻKĄ,
BO MIECZ OPIEWAŁ, ALE SZEDŁ ZA ŁYŻKĄ".

NAŁKOWSKA

WABI JĄ CZERWIEŃ POŻARU,
URZEKA BIEL PRAWICY,
LECZ ONA PEŁNA UMIARU
STĄPA OSTROŻNIE PO SAMEJ GRANICY.

MIJA JĄ ŚWIĘTA TERESA,
MIJA JĄ GRZESZNA NANA,
LECZ ONA BOGA NI BIESA
NIE WIDZI, BO JEST DOBRZE WYCHOWANA.

ANI SIĘ GNIEWA, NI WZRUSZA,
W ŚWIAT PATRZY PRZEZ SZYBĘ LODU...
DO SŁAWY ZASZŁABY GRODU
NAPEWNO, GDYBY NIE PRZEDWCZESNA TUSZA.

CZ. MICHAŁOWSKI

GDY CZŁEK W POLSCE STRACI TEKĘ,
ŁZY OCIERA W... HYPOTEKĘ.

„GAZETA POLSKA"

NIEGDYŚ GDZIEŚ TAM TĘGIE PYSKI **)
I DO SZABLI, I DO MISKI.
DZISIAJ SZABLE ZARDZEWIAŁY
TYLKO MISKI NAM ZOSTAŁY.

NIEGDYŚ, GDZIEŚ TAM TĘGIE DUSZE
PIORUNAMI BIŁY W GŁUSZĘ.
NIEGDYŚ, GDZIEŚ TAM W SKRACH I GLORII
WIÓDŁ NAS ON POD ŚWIT HISTORII!

ON KRWIĄ NASZĄ KRAJ PRZEORAŁ,
OGNIEM PISAŁ CZYNU GŁOSKI.
DZISIAJ GÓRĄ — KTO? PAN DMOWSKI.
DZISIAJ RZĄDZI — KTO? PASTORAŁ.

PÓŁWARIACKIE ANIMUSZE
POROSŁY W RANGI I TUSZĘ.

NA DŹWIĘK ROGU Z DAWNYCH KNIEJÓW
POSPOLITA NASZA RZECZ
DZIŚ ODWRACA BIEG SWYCH DZIEJÓW:
MASZERUJE — ALE WSTECZ

d. c. n.

*) Poprzednie serie „Dożynków" w n-rach 17 i 18 „Epoki".

**) P. „Wesele" Wyspiańskiego.

Dzieje dawne a jednak wciąż nowe...

I.

Niewątpliwie, jednym z ośrodków myśli reformatorskiej, budzącej się w Polsce u schyłku jej przedrozbiorowych dziejów, były „obiady czwartkowe" na zamku warszawskim. W tych „zabawach przyjemnych i pożytecznych", celebrowanych przez światłego króla Stanisława, obok gładkich dworaków, zwyczajnych pieczeniarzy i lekkodusznych wierszopisów uczestniczyli również ludzie o poważnym usposobieniu statystów, mężowie, mniej skłonni do podziwiania strof i rymów pseudoklasycznej poezji, więcej za to do treściwszych znacznie, choć nie tak wdzięcznych, dysput i debat o rzeczach publicznych, krajowych. Ludzie ci, jak cała ówczesna, nieliczna zresztą, warstwa elity kulturalnej w Polsce, żyli w kręgu przodujących wtedy na europejskim zachodzie idej „wieku oświecenia". Wstrząs, wywołany — wśród dramatycznych okoliczności — aktem pierwszego rozbioru, musiał nakłonić ich umysły ku przedsięwzięciom, które po przez mniej lub więcej śmiałe reformy urządzeń prawnych i społecznych Rzeczypospolitej powstrzymać miały dalszy rozkład stosunków wewnętrznych i uratować państwo przed ostateczną katastrofą.

Jako jedno z pilniejszych tego rodzaju przedsięwzięć nasuwała się konieczność uporządkowania i ujęcia w jednolity kodeks zagmatwanego wielce ustawodawstwa sądowego, którego dotychczasowy zbiór oficjalny: *„Volumina legum"*, przedstawiał obraz niebywałego chaosu. Z żywych dyskusyj „czwartkowych", poświęconych tej materii, zrodził się w r. 1776 konkretny projekt przeprowadzenia reformy prawa sądowego. Sam król, pozyskany przez inicjatorów, wystąpił wobec sejmu z odpowiednim przedłożeniem. Wniosek królewski, uzasadniony w gorącym przemówieniu, został przez Zgromadzone Stany uchwalony. Kodyfikację nowego *„Zbioru praw sądowych"* powierzono, również na propozycję Stanisława Augusta, exkanclerzowi Andrzejowi Zamoyskiemu, z zaleceniem, aby pracę tę wykonał i w druku ją przedłożył na następnym, za dwa lata zebrać się mającym sejmie.

Atoli inicjatorzy przedsięwzięcia, których głową był właśnie Zamoyski, mieli plany znacznie przekraczające zakres formalnie poruczonego exkanclerzowi zadania. Po przez reformę sądownictwa zamierzali oni sięgnąć głębiej w strukturę urządzeń prawno-politycznych kraju i dokonać w nich — w miarę możności — takich przekształceń, któreby, w duchu idej „wieku oświecenia", wzmocniły i ulepszyły groźnie trzeszczące wiązadła ustrojowe Rzeczypospolitej. Już na pierwszym posiedzeniu zaproszeni przez Zamoyskiego do współpracy członkowie komitetu redakcyjnego (wśród nich: Wybicki, Chreptowicz, Węgrzecki) stwierdzili pełną w swoim gronie zgodę co do kierunku, w jakim ich praca kodyfikacyjna miała się rozwijać. Chodziło z jednej strony o wzmocnienie władzy królewskiej, z drugiej zaś o pewne ulepszenie stosunków socjalnych przez częściową niwelację dotychczasowych różnic stanowych w społeczeństwie; słowem, o najskromniejszą bodaj, wstępną reformę zżartego przez anarchię szlachecką ustroju państwowego — według zachodnio-europejskich zasad ówczesnego „absolutyzmu oświeconego".

Przedsięwzięcie nie było łatwe do przeprowadzenia. O ile sama potrzeba uporządkowania sądownictwa, ujednolicenia procedury etc. uznawana była, owszem, przez cały ogół szlachecki, a wszelkie prace prawnicze ściśle w jej granicach liczyć mogły na niezawodną aprobatę sejmów, o tyle wszelki zamysł „przemycenia" na tej drodze jakichkolwiek głębiej sięgających reform ustrojowych spotkać się musiał z mniej lub więcej gwałtownym oporem. Swoisty, bo na przywileju oparty, stanowy „republikanizm" szlachecki w każdej próbie wzmocnienia władzy królewskiej wietrzył niebezpieczeństwo dla siebie, a najskromniejszy choćby zamiar uzdrowienia struktury socjalnej kraju wzbudzał w szlacheckiej masie ducha zaciekłej obrony zagrożonego panowania klasowego.

Ale nie tylko z siłami rodzimej reakcji musieli liczyć się reformatorzy, współpracujący z Zamoyskim nad układaniem nowego „Zbioru praw sądowych". Dwa inne jeszcze, potężne czynniki zainteresowały się żywo ich pracą kodyfikacyjną. Jednym, trójgłowym zresztą, były mocarstwa zaborcze, w ich imieniu zaś przede wszystkim ambasador rosyjski w Warszawie, hr. Stackelberg. Drugim — z innych nieco powodów, lecz równie pilnie strzegącym, aby się w Polsce nic istotnego nie działo bez jego aprobaty — był Kościół rzymski: Watykan i jego pełnomocne ramię dyplomatyczne, nuncjusz papieski w Warszawie, Jan Andrzej Archetti.

Ten ostatni właśnie odegrał główną a ponurą rolę w niezmiernie dramatycznym, choć na zewnątrz mało efektownym epizodzie upadku starej Rzeczypospolitej, epizodzie, który nazwiemy tutaj „sprawą kodeksu Zamoyskiego".

II.

Jest rzeczą oczywistą, iż — przedsiębiorąc głębszą reformę prawno-publicznych urządzeń krajowych — nie mogli kodyfikatorzy ominąć ważnej i rozległej dziedziny *stosunków kościelnych*. Zagadnienie śmiałej rewizji tych stosunków, zwłaszcza zaś ograniczenia dotychczasowej niemal że udzielnej niezależności kościoła od państwa, było pod koniec XVIII wieku dla katolickich krajów Europy jednym z najsilniej drążących problemów. Zasada powszechności katolicyzmu, praktyką wiekowego rozwoju instytucji przekształcona w despotyczny „absolutyzm rzymski", nie mogła ostać się wobec „ducha czasu" emancypujących się społeczeństw narodowych. Doktryna *„febronianizmu"*, głoszona przez zbuntowanego biskupa trewirskiego Hontheima-Febroniusza, zaciekle zwalczająca nadrzędność Watykanu i postulująca jak najściślejsze poddanie instytucji kościelnych zwierzchności państwowej, krzewiła się z łatwością na podatnym gruncie ówczesnego przełomu umysłowego. Nie była ona obcą i w Polsce stanisławowskiej. Miała też znaleźć swój — umiarkowany zresztą — wyraz w dziele reformy podjętym przez A. Zamoyskiego i jego współpracowników.

Już po kilku pierwszych posiedzeniach komitetu zaczęły przedostawać się na zewnątrz niejasne wieści o zamierzeniach jego członków, śmielszych znacznie, niż to przewidywała uchwała sejmowa w przedmiocie nowego „Zbioru praw sądowych". Sam Zamoyski zresztą w specjalnej odezwie publicznej

zwrócił się do ogółu obywateli, oraz do instytucyj, sądów i trybunałów, z prośbą o przesyłanie mu uwag, opinij i materiałów, dotyczących przyszłego kodeksu. Na apel ten najskwapliwiej i najkonkretniej odpowiedziało — duchowieństwo. Wyrazem jego postulatów była broszura, wydana przez kanonika ks. Wojciecha Skarszewskiego (późniejszego biskupa-targowiczanina, powieszonego „in offigie" na ulicach Warszawy w dniach insurekcji 1794 r.) p. t. „Uwagi polityczne imieniem stanu duchownego do zbioru praw polskich podane". Broszura ta jest nie byle jakim dokumentem zachłanności politycznej kleru, jego miłości przywileju i możnowładczych pretensyj do odgrywania roli „państwa w państwie", wyosobnionej nadrzędnie kasty w społeczeństwie. W imieniu „stanu duchownego" sformułowane „*Uwagi*" żądały m. in. uznania religii katolickiej w Polsce za „panującą", zagwarantowania przez państwo jej dotychczasowego stanu posiadania „na dalsze wieki", surowej cenzury ksiąg „przeciwnych wierze i moralności", nienaruszalności sądów duchownych i rozszerzenia ich kompetencyj, „obwarowania dochodów i własności stanu duchownego", odjęcia sporów o dziesięciny sądom ziemskim i oddania ich jurysdykcji kościelnej, wreszcie, zniesienia wszystkich dotychczasowych ustaw niekorzystnych dla duchowieństwa, ewentualnie zmiany ich w kierunku, odpowiadającym interesom kleru. Najusilniej pokreślone były fundamentalne dla „splendoru i powagi" kościoła postulaty majątkowo-ekonomiczne i sądownicze.

Broszura ks. Skarszewskiego uprzedzić miała reformatorskie zamysły komitetu Zamoyskiego w zakresie stosunków kościelnych i zapobiec możliwości naruszenia tych stosunków w duchu nieprzychylnym dla „wiekuistych praw" kościoła. Nie osiągnęła jednak bynajmniej zamierzonego skutku. Wprawdzie zarówno sam exkanclerz, jak i większość jego współpracowników byli to szczerzy i niewątpliwi katolicy; w danym wypadku przecież sumieniami ich powodowało przede wszystkim poczucie patriotyczne, żywa troska o interesy kraju, czy też po prostu cytowana przez Wybickiego ewangeliczna zasada: „Quae sunt Caesaris Caesari, quae sunt Dei Deo"... To też sprawy „doczesne" kościoła, polityczno-sądownicze i ekonomiczne, zostały w „Zbiorze praw" potraktowane z państwowo-społecznego, narodowego punktu widzenia. Nowy kodeks przyznawał wprawdzie katolicyzmowi stanowisko religii panującej, w tym jednym punkcie spełniając postulat kleru; w całym atoli szeregu innych ważnych kwestyj podporządkował interesy organizacji kościelnej — zwłaszcza jej watykańskich szczytów — państwowym i społecznym interesom Rzeczypospolitej.

Projektował więc kodeks Zamoyskiego:

1) ustanowienie w Polsce *Trybunału duchownego* jako najwyższej instancji dla rozstrzygania spornych spraw duchownych na obszarze całego państwa (dotychczas instancją taką był Watykan, słynne „apelacje rzymskie", które nie tylko uzależniały obywateli polskich od orzecznictwa instytucji zagranicznej, lecz nadto co rocznie wyciągały z kraju ogromne sumy z tytułu opłat procesowych na rzecz stolicy papieskiej);

2) „*placetum regium*" w stosunku do wszelkich pism, dekretów i bull papieskich, których ogłaszanie w Polsce miało być odtąd dopuszczalne tylko po uprzednim „*exequatur*" króla i Rady Nieustającej;

3) zniesienie *egzempcyj zakonnych*, t. j. niezależności zakonów od terytorialnie właściwych biskupów, a wyłącznej i bezpośredniej ich zawisłości od watykańskich „generałów" (dzięki egzempcji właśnie zakony odgrywały w każdym kraju rolę „milicyj papieskich", ślepo oddanych kurii rzymskiej — ten ich charakter niemożliwy był do pogodzenia z żywotnymi tendencjami zasady narodowościowej, budzącej się w Europie u schyłku XVIII w., których to tendencyj wyrazicielami na gruncie polskim byli członkowie komitetu Zamoyskiego).

Powyższe trzy punkty, najistotniejsze jeśli chodzi o podstawowe zręby stosunków między państwem i kościołem, nie wyczerpywały jeszcze wszystkiego, co nowy kodeks postanawiał w zakresie spraw kościelnych. Przewidywał on również pewne — umiarkowane zresztą — ograniczenia w przedmiocie dóbr, majątków i dochodów kleru: w punkcie więc, na którym „słudzy Chrystusa" byli i są szczególnie wrażliwi. M. in. ograniczał zapisy i darowizny na rzecz kościoła, przekazując wszystkie nadania, po roku 1669 dokonane, na fundusz Komisji Edukacyjnej. Wreszcie, wyznaczał dla spraw majątkowych duchowieństwa sądy ziemskie w miejsce duchownych.

Niewątpliwie, zarówno sam Zamoyski, jak i jego współpracownicy nie łudzili się co do tego, by przeprowadzenie ich projektu na drodze ustawodawczej mogło być łatwym zadaniem. Nie przypuszczali jednak zapewne, że dzieło ich reformatorskie skończyć się miało całkowitym fiaskiem. I że przyczyną główną żałosnego końca ich pracy będą właśnie ustępy „Zbioru praw", poświęcone kościołowi rzymskiemu i jego duchowieństwu.

Leon Kruczkowski

d. n.

Fikcja ośmiogodzinnego dnia pracy

Głos robotnika.

Jeszcze niedawno mówiono o kryzysie jak o mitycznym potworze, lub żywiole w rodzaju huraganu; dziś głosy te nieco przycichły, bo wskaźnik biura koniunktur oznajmił, że kryzys już się skończył. Nareszcie! Każdy odetchnie swobodniej, nie dlatego żeby ludzie doznali ulgi, lecz dlatego, że będzie można pomówić o piekle bez zwalania winy na Belzebuba.

Nędza!... Dla zwykłego śmiertelnika ów wyraz jest wszystkim i wszystko wyjaśnia. Nie potrzeba żadnych komentarzy, żadnych dodatkowych wyjaśnień, gdyż każdy wie, że najpierw idzie krzywda, a później nędza, którą koniecznie trzeba „przetrwać". Tak myślą ci, którzy w swoim położeniu są bezradni. Ale dla tych, którzy mogliby coś pomóc, złagodzić, owe proste wyrazy nic nie znaczą i koniecznie trzeba dowodzić przyczyn, szukać źródła, wskazać winowajcę i dowieść swojej słuszności. To też starym zwyczajem pozwólmy popłakać sobie trochę, bo naprawdę mógłby kto pomyśleć, że już jest wszystko dobrze.

Ośmiogodzinny dzień pracy jest największą zdobyczą ustawodawczą świata pracy w niepodległej Polsce; zdobyczą, o której ciągle tylko marzą dzie-

siątki tysięcy chałupników. To są sprawy bolesne, dobrze wszystkim znane, ale bynajmniej nie jedyne na naszym rynku pracy.

Trzeba dobrze zajrzeć do suteryn, poddaszy, a znajdziemy ich dużo więcej u tych, którzy prawem mają zagwarantowaną normę ośmiogodzinną, ale nie mają zagwarantowanego dostatecznego zarobku. Pracują po większych zakładach przemysłowych lub handlowych, jakim jest trudno wyłamać się z pod nadzoru ochrony pracy, lecz już dawno wyłamali się z pod nadzoru sumienia, folgując sobie tam, gdzie prawo nie sięga.

Robotnicy wspomnianych instytucyj pracują osiem godzin na dobę, ale niskie zarobki nie pozwalają im resztę dnia spędzić na odpoczynku.

Niedostatek zmusza ich do szukania dodatkowych, dorywczych zajęć dla łatania wiecznie deficytowego budżetu.

Jeżeli dzisiaj zarabia ktoś miesięcznie około dwustu zł., to patrząc na swego kolegę zarabiającego 100 zł., albo i mniej, nie może wyjść z podziwu, jak można z tak niskiego dochodu utrzymać siebie z rodziną. Trochę cierpliwości, a można odgadnąć zagadkę. Wystarczy się przyjrzeć ich bieganiu z ulicy na ulicę przez drugie osiem godzin, piłowaniu, stukaniu i praniu po całych nocach, a wszystko dokładnie się zrozumie. Zrozumie się, że norma ośmiogodzinnego dnia pracy jest dla nich tylko fikcją, którą się w nich wmówiło i w którą w wiecznej gorączce niedostatku uwierzyli. Do grupy powyższej należy cały szereg niższych funkcjonariuszów państwowych, pobierających netto od 90 zł. miesięcznie i robotnicy zatrudnieni z funduszu drogowego i inwestycyjnego.

Może ktoś tam z zadowoleniem pomyśli sobie, że nasze państwo może być dumne z tak dzielnych obywateli, którzy mimo niedostatecznego wynagrodzenia umieją jakoś sobie radzić i są pełnowartościowymi pracownikami. Może ktoś się i oburzy na nicowanie cudzej pracowitości, uchodzącej od zarania dziejów za wielką cnotę. A pewno znajdą się i tacy, którzy z owych faktów ukują broń dla własnych celów. Przecież to potworne?... Ludzie chcą dłużej pracować, a ktoś w nich wmawia potrzebę przestrzegania ściśle ograniczonego czasu. Ktoś, sam nie będący robotnikiem, zabrania innym pracować dłużej; zabrania wbrew naturalnemu pędowi właściwych robotników.

Ba! nawet będą się zachwycali pracowitością „szarego człowieka“, nic więcej poza tym nie dostrzegając. Nie dlatego żeby byli aż tak ciemni, ale dlatego, że własny interes ciężarem egoizmu osiadł na ich mózgach. Ta krótkowzroczność dzisiejszego kapitalizmu sprawia wrażenie, jakoby wiedział o swojej ciężkiej chorobie; chorobie nie dającej się uleczyć dotychczasowymi środkami. Wie, że uzdrowić go może tylko operacja i wie, że w podobnym stanie nie przetrwa długo, że musi skonać, ale nie ma odwagi poddać się owej operacji. Zgarnąwszy te wszystkie swe bogactwa pod siebie, strzeże ich pilnie, drży, wzdycha i oczekuje jakiegoś cudu, któryby go uzdrowił.

Znane to zjawisko, że nadmierna zapobiegliwość rozwija się u ludzi chciwych; oraz że zapobiegliwość ta nie stwarza z niczego, lecz zagarnia już istniejące wartości z uszczerbkiem mniej przebiegłych.

Niektórzy z tych „zapobiegliwych“ zdają sobie sprawę, komu szkodzą i czyim kosztem sobie byt poprawiają; ci dzięki tej świadomości mogą poniekąd sami nad sobą sprawować kontrolę, ażeby innym nie uczynić zbyt wielkiej krzywdy. Większość jednak traktuje swą chciwość jako zaletę charakteru i bez skrupułu odbiera innym sposób zarobkowania. Kłusownicy rzemiosła nie utrzymują specjalnych warsztatów, nie płacą z tego tytułu żadnych podatków, ani świadczeń i mogą taniej przyjmować zamówienia: wskutek tego stają się groźnym konkurentem drobnych warsztatów rzemieślniczych, które nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa, również tylko marzyć mogą o dniu pracy ośmiogodzinnym.

Gdyby ktoś miał możność i chęć zadania sobie trudu obliczenia ilu robotników jest u nas w stanie utrzymać się z dochodu ośmiogodzinnego dnia pracy, otrzymałby wyniki bardzo mizerne. Gdyby zaś dodać sumę godzin roboczych i podzielić przez sumę zatrudnionych robotników we wszystkich dziedzinach pracy otrzymalibyśmy długość przeciętnego dnia roboczego, która w żadnym wypadku nie zamknęła by się w ośmiu godzinach, a kto wie czy nie przekroczyłaby godzin dziesięciu.

Doszliśmy do bardzo prostego wniosku: należy nie tylko wprowadzić, ale stosować wszędzie ośmiogodzinny dzień pracy; należy ścigać prawem kłusowników. Czy jednak w dzisiejszych warunkach byłoby to możliwe? Czy nie byłoby zbyt nieludzkie? Liczba bezrobotnych może by spadła, ale suma dochodu wszystkich robotników nie zwiększyłaby się, a więc zmiana ta nie miałaby wpływu na rynek gospodarczy.

Więc cóż?... Pozostaje nam stara piosenka, której podniszczonych strof, nie warto przepisywać. A jednak pisać trzeba. Jeżeli człowiek jest pewny swej słuszności, to musi mieć odwagę nie tylko pisać i mówić, ale głośno wołać, wołać nawet w obliczu tych, którzy go słuchać nie chcą. Polska jest wylęgarnią różnych haseł, więc i my mamy zamiar swe hasło wysunąć. Zamiast „Daj grosz na pomoc zimową“, radzilibyśmy wszystkim codziennym i okresowym pismom wprowadzić stałe hasło i drukować je wielkimi czcionkami: „Nie wyzyskuj pracownika, bo szkodzisz własnym interesom“.

Jeżeli zalecane przez nas hasło będzie zrealizowane, nie zajdzie nigdy potrzeba głoszenia w tym zakresie innych.

Nasze związki zawodowe i opinia publiczna skupiły uwagę na pulsie wielkich zakładów, jakgdyby one miały wyłączną władzę rozwiązania węzła bezrobocia. Cóż jednak się osiągnie, chociażby w tych zakładach uzyskano skrócenie dnia do 6 godz. pracy, kiedy druga bodajże większa armia będzie nadal pracowała do szesnastu godzin na dobę. Robotnik to nie tylko ten zatrudniony w wielkiej fabryce, ale i ten co pracuje we własnym mieszkaniu, na własnym stołku. A jakże często ci, co walczą o poprawienie bytu szerokich mas targują się z szewcem, kiedy żąda od nich 50 gr. drożej za zelówki. Wysiłek państwa i całego społeczeństwa musi iść w tym kierunku, ażeby całkowicie wprowadzić w życie to, co już się stało prawem obowiązującym. Ponieważ państwo w bardzo szerokim zakresie jest i pracodawcą, powinno nasamprzód unormować wynagrodzenie na takiej wysokości, żeby pracownicy nie mieli potrzeby szukać zajęć dodatkowych. Jeżeli przypomnimy ostatnią reformę uposażeniową i powołamy się na motywy podniesienia gaży urzędnikom wyższym, to jednocześnie powyższe

motywy musimy zastosować i do warstw najniższych, jeżeli naprawdę chcemy wyjść z labiryntu sprzeczności.

Akcji zwycięskiej nie da się prowadzić w warunkach takich, przy których przełożeni będą syci, a szeregowcy pozostaną głodni. Dobro państwa nie rozwinie się w hierarchii wysokich gaż, zawarowanych dla wyższych urzędników, przy nędzy i poniewierce tych, którzy byli i w razie potrzeby będą żołnierzami. Trzeba dźwignąć z nędzy szerokie masy, a tym samym dźwigniemy i państwo.

Ideą głodnego jest tylko jedno, ażeby się chociaż raz dobrze najeść i nic więcej poza tym.

S. Kleszcz

Nieznany poeta: Wiktor Popławski

Nie witany prawie przez nikogo, dostrzeżony przez niewielu znawców i miłośników czystego tonu w poezji, ukazał się niedawno zbiór wierszy Wiktora Popławskiego p. n. „Ja i świat".) Wydane już po zgonie autora, który zmarł w początku r. 1935, wiersze owe były jednak jego ręką zgromadzone i wybrane do druku na parę tygodni przed śmiercią. Niewielką tylko ich liczbę dodała żona, współtowarzyszka pracy, kierując się wskazówkami poety, kótremu już zabrakło czasu do przejrzenia całości.*

Niepostrzeżenie, cicho i jakby ukradkiem tom Popławskiego wszedł do królestwa naszej poezji, ale za to — mamy wrażenie — pozostanie w nim na zawsze, jako wartość sama w sobie, głęboka i jedyna: pozostanie niezaćmiony wśród jego najcenniejszych klejnotów.

Ci, którzy znali Wiktora Popławskiego, jako publicystę i dziennikarza, nie przeczuwali, że w najgłębszych tajniach duszy posiadał on tę moc, której, jak dziś widzimy, nie dzielił bodaj z nikim wśród swego pokolenia: moc tworzenia drobnych arcydzieł, zawierających wszechświat uczucia w kilku lub kilkunastu strofach.

Do takich drobnych a przejmujących arcydzieł liryki należą, między innymi, trzy wiersze, które postanowiliśmy przedrukować, aby zachęcić szerszy ogół do zapoznania się z całością.

Pierwszy z tych trzech wierszy (jeden z ostatnich, jakie Popławski napisał) jest — jak słusznie w swej przedmowie powiada Potocki — jakby wyrokiem sformułowanym przez poetę nad biegiem życia. Bez emfazy, bez samooskarżenia ujmuje tutaj treść treści tego, co stanowi ból każdego istnienia, o ile nie uległo zakłamaniu:

„że wszystko mogło być inne,
i że być już nie może inaczej".

Rozpiętość ambicji przepalającej duszę:

„w najdalszych stoję szeregach,
a mało mi zostać Cezarem".

Bezbrzeżny smutek, że dzień po dniu nic już nie niesie „prócz samej chyba rozpaczy"; powaga i prostota finału, gdy mówi do żony:

„lecz teraz musi już odejść,
porzucić swe życie kalekie,
ktoś, kogo wołałaś Witek,
a kto był pełnym człowiekiem"

oto motywy, które czynią z tego wiersza klejnot prawdy duchowej, wyrażonej z tragiczną bezbronnością.

Nie mniej piękny i przejmujący, godny Baudelaire'a, jest wiersz drugi, malujący beznadziejność tego krajobrazu, jaki przed każdym pisarzem otwiera się w postaci jego biurka, biurka, nad którym „przesiedział wieki":

„...litery, wyrazy,
dlaczego zawsze wybiegacie w bok,
czemu ścigając prawdę tyle razy,
zawsze musicie ją minąć o krok".

W tej jednej strofie ileż zawarło się męki, ile legło daremnych usiłowań, ile w rozpaczy przemyślanych godzin, dni i — wieków! Spróbujmy ją dźwignąć, a zaciąży nam w rękach wiekiem trumny, w której spoczął trud, czyjś chybiony trud całego życia.

W r. 1934 Popławski — w natchnieniu jakby proroczym — kreśli krótki poemat przeczuwanej śmierci Piłsudskiego. „Dowiemy się o tym wieczorem"... W truchlejącym żalu duszy wypowiada się synteza myśli i czucia za całe pokolenie. I znowu tu — cytujemy słowa te w dalszym ciągu za Potockim — absolutny słuch poetycki w kilkunastu strofach zamyka historiozofię i tragedię momentu w formie najosobistszego przeżycia.

Czysty, najosobistszy ton serca we wszystkich trzech wierszach rozbrzmiewa prawdą, wytopioną z życia, które było męką i rozkoszą obcowania z tym, co najwyższe.

EPOKA

* * *

DO ŻONY

To nie jest wierszyk do druku,
To raczej jest list do ciebie —
Opowieść o moim piekle
I żal po straconym niebie.

Bo chyba Bóg się pomylił
(Niedoli to mej nie zmniejsza),
Że dał mi los tu na ziemi
Najcichszy i najsmutniejszy.

A razem dał mi ambicję,
Która przepala mię żarem!
W najdalszych stoję szeregach,
A mało mi zostać Cezarem!

W dalekich latach młodości
Nie czułem tej losu pogardy,
Umiałem upajać się życiem,
Umiałm być dumny i hardy.

Bo w braku prawdziwej zdobyczy
Przez lata żyłem marzeniem,
Słabłem w tej cudnej truciźnie,
Sam własnym stawałem się cieniem.

Ty, co najdłużej na ziemi
Jesteś i przy mnie i ze mną,
Ty, miła, ty wiesz najlepiej,
Że życie jest sprawą daremną.

Że dzień po dniu nic nie niesie
(Prócz samej chyba rozpaczy),
Że wszystko mogło być inne,
I że być już nie może inaczej.

*) *Wiktor Popławski:* „Ja i świat". Poezje. Ze wstępem Antoniego Potockiego. Skład główny J. Mortkowicz. Warszawa.

Duma? Zapewne. Jej resztka
Jeszcze się we mnie zgrywa;
Lecz czymże jest duma cienia?
Pustą butelką od piwa?
Pamiętasz — to niebo — tak jasne,
Kiedyśmy byli młodzi?
Cóż robić? Wszystko się chmurzy.
Cóż żalić? Wszystko odchodzi.
Ja wiem, że te chmury i słoty
Sam sprowadziłem na siebie.
(To duma przeze mnie tak mówi,
Żem rządził sam na swym niebie).
Lecz teraz musi już odejść,
Porzucić swe życie kalekie,
Ktoś, kogo wołałaś „Witek",
Ktoś, kto był całym człowiekiem. 1934 r.

Jak się to wszystko powoli przetwarza...

Jak się to wszystko powoli przetwarza,
Codziennie inny widok, inny świat —
Poczerniał żółty wierzch od kałamarza,
Zgięła się świeca i kalendarz zbladł.
Jak się to wszystko nieustannie zmienia
Na tej zieleni sukna wszerz i wzdłuż —
Kamyczki, morza modrego wspomnienia,
Z nadbitym uchem wazon — lecz bez róż.
Zgięty nad biurkiem przesiedziałem wieki
W schylonej głowie przeszumiały dni —
I znów jak dawniej mrugają powieki,
I znów jak dawniej niewesoło mi.
Czyż wiem, skąd życie swoje siły bierze,
Zamknięte w ramy czterech roku pór?
Cóżem dokonał? po białym papierze
Jak dawniej biegnie małych liter sznur.
Dlatego smutno. Litery, wyrazy,
Dlaczego zawsze wybiegacie w bok?...
Czemu, ścigając prawdę tyle razy,
Zawsze musicie ją minąć o krok?... 1920 r.

Dowiemy się o tem wieczorem...

Dowiemy się o tem wieczorem,
A może dopiero w nocy,
Że w walce z ciałem chorem
Uległ przemocy.
Że duch Jego w tej jednej chwili,
Jedynej przez całe życie,
Szali wag nie przechylił,
Bo może nie chciał — skrycie...
Dowiemy się, że odszedł od nas,
I serce nam w piersi stanie,
Czyśmy wyczuli ów rozkaz,
Co chciał nam dać na rozstanie?
Polska od morza do morza?
Jedna dla wszystkich Polaków?
Nie wolno brać się do noża
Polakom z pod różnych znaków?
Armia — to serce narodu?
Nie oddać i piędzi ziemi?
Walczyć z przekleństwem głodu?
Budować bezrobotnymi?
Państwo? Społeczność? Ojczyzna?
Jedyna hańba i krzywda,
Gdy się do innej idei
Prócz „Polski" Polak przyzna?
Czy zgadnąć będziemy musieli,
Czy nam podszepnie serce,
Że to, cośmy zeń wzięli
W tej chwili — jest najważniejsze

— — — — — — — — — — — — — — —

Dowiemy się o tem wieczorem,
A może dopiero w nocy,
Że w walce z ciałem chorem
Uległ raz pierwszy — przemocy.
Bo taka śmierć straszliwa,
Co byt narodu podważa,
Nie ma odwagi, by stanąć
Przed słońcem z odkrytą twarzą.
Kryje się w mroku wieczoru,
Podpełza dziedzińca cieniem,
Shańbiona we własnych oczach
Zwycięstwem nad jego istnieniem!

— — — — — — — — — — — — — — —

Dowiemy się o tem — czy wszyscy,
Którzy dziś nad nim czuwamy,
Wiarą, miłością, nadzieją,
Wolą, wytrwaniem, mózgami?...
Wybrany będzie ten w Polsce,
Przez Boga umiłowany,
Kogo w tej strasznej godzinie
Żałoby nie będzie z nami!
Nie zazna goryczy rozterki,
Nie będzie szukał daremnie
Kamienia prawdy ukrytej
W Wiśle, w Warcie, czy w Niemnie?
Nie dowie się nigdy, że w nocy,
A może jeszcze wieczorem,
Uległ raz pierwszy przemocy
Nad swojem ciałem chorem.

Warszawa, listopad 1934 r.

Agraryzm — oddziałem demokracji

I.

Zagadnienie ustroju rolnego w Polsce, to nie tylko sprawa wydajności produkcji rolnej. I nie tylko kwestia interesu klasowego warstwy chłopskiej, czy ziemiaństwa. Zrodzona w odległej przeszłości „kwestia włościańska", nierozwiązana w myśl wskazań historii u schyłku XVIII stulecia, stała się przeszkodą, o którą potknęła się wtedy wielka próba uratowania naszej niepodległości przez śmiałe pchnęcie Polski na drogę nowoczesnego, demokratycznego rozwoju, co jedynie mogło zapewnić czynny udział najszerszych mas ludowych w dziele obrony narodowej. Egoistyczny interes stanowy szlachty zwyciężył wtedy reformatorskie dążenia patriotów. I trzeba stwierdzić, że Targowica była tylko najjaskrawszym, najbardziej cynicznym przejawem tego prymatu szlacheckiego interu partykularnego nad interesem ogólno-narodowym. Ale nie jedynym. Szlachetczyzna, jak kłoda, zawisła u nóg tych, co rozumieli nawet, że bez radykalnego przełomu w życiu społecznym upadek Rzeczypospolitej jest nieunikniony. Nieśmiałość i połowiczność poczynań wielkich reformatorów Sej-

mu czteroletniego w stosunku do chłopstwa zaciążyła tragicznie na wielkim dziele reformy. Dzieło to było nie *spóźnione*, jak uczono w gimnazjum, lecz — niewystarczające. Wielomilionowa rzesza chłopska nie poczuła się gospodarzem państwa. A w kilka lat później próba Kościuszki — częściowe tylko ograniczenie pańszczyzny — dowiodła kosynierskim czynem, że droga odrodzenia Polski wiedzie przez lud. Lata późniejsze przyniosły współpracę polskich obszarników z zaborcami, którzy nawzajem użyczyli szlachcie pełnego poparcia przeciw chłopskim dążeniom wyzwoleńczym. Wstrząsająca w swym realiźmie historycznym nowela Żeromskiego „O żołnierzu tułaczu" opowiada o chłopach - legionistach, którzy po powrocie do ojczyzny ponoszą śmierć na rozkaz mściwego obszarnika za to, że w rodzinnej wiosce ośmielili się głosić przyniesione z legionów hasła wolności ludu. Tę samą wymowę historyczną posiada ponura scena w „Popiołach", gdzie wezwani przez dziedzica żołnierze austriaccy katują weterana kościuszkowskiego, Michcika, za odmowę pełnienia „obowiązków" pańszczyźnianych. A przecież Żeromski był tym, który mimo wszystko łudził się, że „okaże szlachcic polski wielkość duszy"... Egoizm jednej części szlachty, niezdolność do zerwania z tradycją szlachetczyzny u drugiego, lepszego odłamu tej warstwy — oto przyczyny, dla których powstania narodowe XIX wieku, niepoparte dostatecznie przez lud, kończyły się klęską.

Bo niepodległość kraju mogła być uratowana z końcem XVIII stulecia tylko przez rozpętanie przeciw zaborcom ogólno-narodowej wojny, t. zn. wojny *ludowej*, takiej, jaką w tym czasie republikańska Francja zwycięsko poprowadziła przeciw feodalnym najeźdźcom, rozbijając potężne armie despotów. A nieodzownym warunkiem tego podniesienia ludu do godności narodu była całkowita demokratyzacja naszego ustroju rolnego: nie tylko zniesienie pańszczyzny i uczynienie chłopa pełnym właścicielem dzierżonego przezeń w feodalnej zależności skrawka ziemi, ale także zupełne zniesienie latyfundiów magnackich i obszarów dworskich, oddanie wszystkich gruntów na własność chłopstwa. Było to konieczne dla unarodowienia ludu, *unarodowienie ziemi*. Tymczasem projekty reformatorskie przewidywały na ogół złagodzenie pańszczyzny lub unormowanie jej, a najbardziej postępowi publicyści proponowali zamianę pańszczyzny na czynsz. O zniesieniu wielkiej własności, o zniesieniu więc kasty ziemiańskiej i samego porządku feodalnego bez reszty, nie myślały nawet najświatlejsze głowy ówczesnej Polski szlacheckiej. *Uratowanie feodalizmu i folwarków — uniemożliwiło uratowanie Polski.*

Ta sama połowiczność pokutowała w pierwszej połowy XIX wieku. Trudno ostatecznie dziwić się, że myśl radykalnej reformy stosunków włościańskich nie zrodziła się wśród liberalnego ziemiaństwa, tworzącego przed rokiem 1830 legalną, konstytucyjną opozycję w Królestwie Kongresowym (bracia Niemojowscy). Ale powstańcy i radykalny odłam szlachty i inteligencji szlacheckiej, reprezentowany przez demokratyczną emigrację popowstaniową, nauczony doświadczeniem przegranej wojny, rozumiał konieczność udziału najszerszych mas ludowych w walce o niepodległość. Świadczy o tym bogata literatura polityczna tego odłamu. Demokracja niepodległościowa tłumaczy upadek powstania listopadowego zlekceważeniem przez jego kierownictwo sprawy włościańskiej i podkreśla, że każde przyszłe powstanie narodowe zwycięży tylko wtedy, gdy będzie powszechnym powstaniem ludu. W tym kierunku zmierzały też wysiłki emisariuszów powstańczych w kraju. Efekt ich ofiarnej pracy był jednak na ogół bardzo nikły. Bo demokracja powstańcza, której przedstawiciele przelewali krew nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach, gdzie toczyła się walka z despotyzmem, i szeroko roznieśli sławę Polaków jako bojowników wolności i postępu — nie zdołała sformułować wyraźnego, niedwuznacznego i dla mas ludowych zrozumiałego programu rozwiązania sprawy chłopskiej. Doprowadziło to, jak wiadomo, do rozłamu w szeregach emigracji demokratycznej i do utworzenia w r. 1835 organizacji „Lud Polski", głoszącej całkowite zniesienie wielkiej własności i powszechne powstane ludu przeciw Rosji i feodalizmowi. Podobny program radykalno - ludowy miała utworzona w latach czterdziestych na terenie południowej Kongresówki organizacja chłopska księdza Piotra Ściegiennego. W ten sposób — zarówno na emigracji, jak w kraju — samodzielny ruch ludowy już sto lat temu rozumiał łączność interesów chłopskich z interesem ogólno - narodowym, zaprzepaszczanym stale na rzecz egoistycznego interesu kasty szlacheckiej.

II.

I nowoczesny ruch ludowy w Polsce idzie tymi samymi drogami; w radykalnej, śmiałej reformie rolnej widzi nieodzowny warunek pomyślnego rozwoju życia narodowego. Ruch ludowy i jego ideologia, *agraryzm*, pragnie i może być kontynuacją demokratycznego nurtu naszej historii. Nurtu antyfeodalnego w swej istocie, nurtu, który niósł gruntowną, demokratyczną przebudowę ustroju rolnego przez zniesienie wielkiej własności i pasożytniczej warstwy szlacheckiej, ostoi zaśniedziałości, wstecznictwa i ugody z zaborcami. To swoje miejsce w dziejach narodu ruch ludowy doskonale rozumie i czuje się wykonawcą niezrealizowanego testamentu, pozostawionego przez wiek XIX. Niezrealizowanego, bo jedyna siła, która mogła go wtedy zrealizować — lud, nie zupełnie jeszcze był obudzony z wiekowego snu i praca ludowo - demokratycznych odłamów ruchu niepodległościowego nie mogła ogarnąć tak szerokich mas chłopskich, jak współczesny ruch ludowy i wiciowy. Ideologia agraryzmu (przynajmniej *polskiego)* posiada swoje ostrze antyfeodalne i demokratyczne i w jej obecnym stadium rozwojowym najbardziej karkołomna argumentacja nie zdołała by wyrwać jej tego ostrza, uczynić z agraryzmu jakiejś reakcyjnej platformy obrony rzekomych „wspólnych" interesów chłopstwa i obszarnictwa, na junkierską modłę i pod junkierską komendą. Przy dzisiejszym stanie świadomości społecznej chłopa polskiego zawodzą wszelkie tego rodzaju próby, stosowane nie bez powodzenia przez junkierstwo pruskie w okresie republiki weimarskiej.

Przedstawiciele agraryzmu polskiego zdają sobie sprawę z antyfeodalnej misji historycznej ruchu ludowego. Stanisław Miłkowski w swej broszurze *„Walka o nową Polskę"* (Warszawa, 1936), szukając „głównego źródła zła" — odpowiada: „przyczyną tego jest fakt *ciążenia szlachetczyzny nad naszym życiem* gospodarczym, kulturalnym, społecznym i politycznym". Stwierdza zastraszający wzrost politycznych i kulturalnych wpływów ziemiaństwa w ciągu ostatnich lat i wyraża przekonanie, że

„Zbankrutowana i zdegenerowana szlachetczyzna, która doprowadziła już raz do upadku naszej państwowości — w żadnym wypadku nie może stać się zaczynem idącej Polski".

Ale jest to przekonanie nie tylko agraryzmu polskiego, nie tylko ruchu ludowego i wiciowego. Jest to zgodne przekonanie całej demokracji polskiej. W demokratycznej reformie rolnej widzi ona wielki problem kultury polskiej, w wyrwaniu chwastów szlachetczyzny widzi warunek demokratyzacji i upowszechnienia tej kultury. „Oświata i kultura nie może być przywilejem jakiejś warstwy — przeciwnie, musi stać się udziałem wszystkich" — pisze Miłkowski. Junkierska kuratela nad życiem społeczno - kulturalnym Polski dławi to życie od lat, hamuje naturalny proces unarodowienia kultury, odsuwa przygniatającą większość narodu od czynnego udziału w tworzeniu tej kultury.

Dlatego agraryzm polski wyraźnie formułuje konieczność demokracji politycznej jako jedynej formy ustrojowej, która w dzisiejszych warunkach zapewnia ludowi należny mu wpływ na losy narodu i umożliwia zgodne z interesem kraju rozwiązanie odwiecznego zagadnienia ustroju rolnego. Republika parlamentarna, *„ustrój demokratyczno - republikański"* — jak głosi program ludowy — odpowiada potrzebom życia narodowego i pragnieniom ludu. Postulat ten jest przeto jednym z istotnych w ideologii agraryzmu polskiego. Stąd negatywny stosunek ruchu ludowego do faszyzmu i jego korporacjonistycznych koncepcyj. „Z punktu widzenia społeczno - gospodarczego — stwierdza Miłkowski — faszyzm jest kierunkiem wstecznym, jest kierunkiem warstw posiadających, które zdobywszy tą drogą władzę państwową — wszystko nastawiają na obronę własnych interesów... A w innym miejscu: „Agraryzm w swojej ideologii społecznej stoi na przeciwnym krańcu faszystowskiego korporacjonizmu, jest kierunkiem stojącym na gruncie wszechstronnej i pełnej demokracji..."

Demokratyczna postawa ideowa agraryzmu polskiego nie da się więc pogodzić także z reakcyjnym totalizmem endecji:

„Narodowość warstwy chłopskiej nie ma nic wspólnego z ideologią narodową, reprezentowaną przez Stronnictwo Narodowe, które zupełnie bezpodstawnie przywłaszczyło sobie monopol na narodowość.

Ideologia narodowa jest dzisiaj wyraźnym parawanem dla warstw posiadających, dla innego, może bardziej wstecznego odłamu szlachetczyzny".

Agraryzm, demokratyczny i ludowy, jest w istocie swej narodowy *„bez wszystkich ujemnych cech szowinizmu endeckiego i jego społecznego wstecznictwa"*. Dlatego jest on wielkim oddziałem demokracji polskiej.

Michał Jordan.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ANDRE GIDE O TOMASZU MANNIE.

W Paryżu ukaże się wkrótce książka Tomasza Manna p. t. „Ostrzegam Europę". Przedmowę napisał Gide. Z przedmowy tej przytaczamy niektóre fragmenty:

— Napisanie przedmowy do tej książki poczytuję sobie za wielki zaszczyt.

Tomasz Mann jest dziś jednym z tych rzadkich ludzi, których uwielbiać możemy bez zastrzeżeń. Nie ma potknięć w jego dziełach i nie ma ich w jego życiu Tomasz Mann stał się obywatelem czechosłowackim. Widziałem go ostatnio w Kusnacht, w okolicach Zurychu. Skazał się dobrowolnie na wygnanie... Nikt nie skazał go bowiem na banicję. Trzecia Rzesza podkreśla ten fakt. — Nic — mówię — nie zmuszało go do opuszczenia kraju. Tylko od niego samego zależało, by pozostał. Wyjechał. Tym gorzej dla niego. Wszystko, co potem nastąpiło, było tylko prostą konsekwencją: konfiskata jego majątku w Bawarii, pozbawienie praw i wreszcie wyzucie go z obywatelstwa niemieckiego oraz tytułu, jakim obdarzył go uniwersytet w Bonn.

...Tomasz Mann musi — choćby tylko przez szlachetną swą uczciwość — odgrywać rolę polityczną w kraju, gdzie „uczciwi ludzie", którzy śmią jeszcze myśleć, są niepożądani i szkodliwi. Jeśli chodzi o nas, dostateczną miłością darzymy prawdziwe Niemcy, a głos ich raczej słyszymy w proteście Tomasza Manna niż w liście rektora uniwersytetu Bonn. W tym proteście oburzenie jest jeszcze powściągane. Rozpłomieni się ono, gdy w grę wejdzie sprawa Hiszpanii, rozważana w trzeciej z zebranych tu rozpraw. Jest to godne czci: owo oburzenie jest tym głębsze im mniej wchodzi w grę interes osobisty. I po tym między innymi poznaje się szczerość doskonałą tych stron... Nie dyktuje ich osobisty interes. Mann jest bowiem h u m a n i s t ą w najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

„Humanizm — wyjaśnia Mann — nie ma w sobie nic szkolarskiego i nie ma nic wspólnego z erudycją. Humanizm jest raczej d u c h e m, intelektualną dyspozycją, stanem duchowym, wymagającym sprawiedliwości, wolności, tolerancji, szczerości. ...Czy nie byłoby najprostsze i najlepsze uważać humanizm za przeciwieństwo fanatyzmu?"

...Humanizm Tomasza Manna dojrzał w chwili, w której przemoc usiłuje zdławić myśl i poddać ją brutalnej arbitralności. W takiej chwili prawdziwy humanista uświadamia sobie swą powinność. Nie uginając się, przeciwstawia materialnej sile inną siłę: niezmożoną siłę ducha.

...Niektóre prawdy tej książki winny dać wiele do myślenia młodym. Szczególnie te słowa: „Młodzi nie znają kultury w najwznioślejszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu. Nie znają pracy nad sobą. Nie wiedzą nic o odpowiedzialności indywidualnej i znajdują wszystkie prawa w życiu zbiorowym. *Życie zbiorowe w porównaniu z indywidualnym jest sferą łatwego .ycia. Obecne pokolenie pragnie wziąć na zawsze urlop od samego siebie.* Pragnie i kocha upojenie. W nowej wojnie znajdzie swój cel ostateczny, wraz z którym cywilizacja ulegnie zagładzie".

Zalew barbarzyństwa, na który Tomasz Mann spogląda z niepokojem, nie wdarł się jeszcze do Francji. Dlatego może, jako Francuz, jestem mniej nieco przygnębiony. Lecz jakże nie uznać prawdy rozważań, jakie snuje Mann w „Ostrzeżeniu Europy"?

...„świat jest już, być może, zgubiony nozy i nie odzyska jasnej świadomości"". Nad tym właśnie pracują strony tej książki. I dzięki nim, mogę myśleć: „Nie, Tomaszu Mannie, nasz świat nie jest jeszcze zgubiony, nie może być zgubiony, póki głos taki, jak twój, rozbrzmiewa ostrzeżeniem. Póki sumienia takie, jak twoje, pozostaną czujne i wierne — póty nie należy jeszcze rozpaczać".

PO ZGONIE MASARYKA.

Ojciec Massaryka był woźnicą na dworze cesarskim, a matka — służebną. Zatrudnieni byli oboje w jednej z posiadłości cesarza Franciszka Józefa. Warunki pracy i życia rodziców Massaryka analogiczne były do warunków, w jakich żyli średniowieczni poddani. Nie mogli co prawda być zabici lub sprzedani jak niewolnicy, lecz nie mieli prawa rozporządzać sobą i bez zgody pana nie mogli zmieniać miejsca lub rodzaju pracy.

Prawo to zostało zniesione w 1849 roku i przywrócono wolność poddanym feodalnym.

W rok później urodził się Tomasz Massaryk, który zyskał miano oswobodziciela ojczyzny.

**
*

W roku 1882 założono w Pradze uniwersytet czeski pod egidą władz austriackich.

Nazwisko Massaryka, który odbył ze znakomitym wynikiem studia filozoficzne, dotarło do uszu ministra wiedeńskiego, który usiłował nadać uczelni charakter najbardziej lojalny.

Osoba młodego doktora stała się przedmiotem ankiety. Choć Massaryk pochłonięty już był wówczas sprawą niepodległości swego narodu, uzyskał pomyślną opinię, która dziś — w perspektywie półwiecza — tchnie ironią dziejową. Opinia przedstawicieli władzy cesarsko - królewskiej brzmiała:

— Zdaniem profesorów czeskich wspomniany Massaryk — sądząc z jego charakteru — będzie elementem umiarkowanym i lojalnym.

**
*

Tomasz Massaryk poświęcić się zamierzał karierze naukowej, a na arenę polityczną sprowadził go słynny spór o rękopisy historyczne, spór, którym rozbrzmiewała cała Czechosłowacja.

Na początku XIX wieku dwaj uczeni „sfabrykowali" pergaminy o sławnych kampanach wojsk czeskich na początku średniowiecza. Pergaminy te były zarazem świadectwem wysokiej cywilizacji mieszkańców Bohemii w tej epoce Przez przeszło 50 lat naród czeski chlubił się i upajał tymi rewelacjami. Nikomu nie przyszło na myśl poddać w wątpliwość autentyczność dokumentów.

Massaryk osobiście zajął się sprawdzeniem tych dziejowych dokumentów i orzekł, że są sfałszowane. Rozpętał tym burzę protestów. Profesor Massaryk popadł w niełaskę. Młodzież ultranacjonalistyczna rozpoczęła nagonkę, nieprzebierającą w środkach.

Jeden z dzienników praskich napiętnował Massaryka słowami:

— Zczeźnij, niesławny zdrajco! I nie odważ się odtąd używać naszej świętej mowy! Zapomnij, żeś urodził się z matki Czeszki! Wyrzucamy cię poza nawias narodu!

W trzydzieści lat później ten sam dziennik stał się organem rządu, któremu przewodził „niesławny zdrajca".

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Tadeusz Lechnicki: O jasny program i zwarte działanie. I Rolnictwo (Szkic dyskusyjny). Warszawa 1937. Nakładem autora.

Antoni Gronowicz: Niedroga recepta (kompozycja sceniczna). Ilustrował Henryk Streng. Lwów 1937. Nakładem Księgarni Lwowskiej.

Józef Piłsudski: Pisma Zbiorowe, wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom. VI. Warszawa 1937. Nakładem Instytutu Józefa Piłsudskiego.

Henryk J. Korybut - Woroniecki: Z czasów Wielkiej Wojny. (Stowarzyszenie „La Pologne et la guerre" w Szwajcarii) Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937.

Jerzy Borejsza: Hiszpania (1873 — 1936). Słowo wstępne Prof. Stefana Z. Czarnowskiego. Nowa Biblioteka Społeczna. Warszaaw 1937.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał IV-ty



REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 4173 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.